



MARY BOWRING

Jak mu pomóc?

Tytuł oryginału: *Vet with a Secret*



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Alice Norton westchnęła z ulgą, gdy zamknęła drzwi do garażu i gabinetu. Miała za sobą długi, męczący dzień. Objęła się ramionami i z uśmiechem ruszyła wyłożoną kamieniami, zadaszoną ścieżką, wiodącą z lecznicy do kuchni dużego, starego domu.

Gdy weszła do środka, matka przykrywała garnek, stojący na małej kuchence elektrycznej.

- Gotowe - oznajmiła i dodała radośnie: - Nikt tak jak ja nie potrafi utrzymać ciepłego jedzenia. No ale ja miałam męża, którego przez tyle lat wzywano do wypadków o najdziwniejszych porach...

Uśmiech matki przygasł na chwilę i Alice odgadła, że jej serce ścisnął żal. Ona sama też ciężko przeżyła śmierć ojca. Chcąc rozładować posępną atmosferę, powiedziała szybko:

- Musimy kupić kuchenkę mikrofalową. Będzie ci łatwiej. -A potem spojrzała na stół i otworzyła szeroko oczy: - Wino? Ojej! Co mamy dziś uczcić?

Matka zdjęła pokrywkę z garnka i kuchnię wypełnił wspaniały aromat.

-Dziś musimy podjąć decyzję dotyczącą naszej przyszłości - rzekła wolno i uroczyście, po czym, widząc zmarszczone czoło córki, dodała szybko: - Nie, kochanie, tak dłużej nie można. Wyglądasz jak cień. Nie podoba mi się, że pracujesz dwadzieścia cztery godziny na dobę. Z ojcem dawaliście sobie świetnie radę, ale sama porywasz się z motyką na słońce.

Szare oczy Alice patrzyły na matkę z zakłopotaniem.

- No chyba przesadzasz. Jest mi trudno, ale jakoś daję sobie radę. - Milczała przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- Chociaż, prawdę powiedziawszy, jest mi rzeczywiście coraz trudniej. Strasznie tu dużo tych zwierząt. No i farmerzy się złością, kiedy mnie wzywają, a ja akurat jestem w środku operacji albo poczekalnię mam wypełnioną po brzegi. - Widząc zatroskanie na twarzy matki, dodała energicznie: - No to napijmy się tego wina. Powinno nam pomóc.

Później, gdy siedziały już w salonie przy kominku, pani Norton oświadczyła:

- Musimy rozważyć wszystkie możliwości. Po pierwsze, możemy sprzedać cały ten kram, a więc dom razem z lecznicą, wyposażeniem, i tak dalej. A to by oznaczało...

- Wiem, co by to oznaczało - przerwała Alice z goryczą.

- Musiałabym poszukać pracy w lecznicy daleko od tego miejsca. Ty nigdy byś nie miała do mnie o to pretensji, ale - jej głos złagodniał - wiem, jak lubisz ten dom. Przeżyłaś tu z ojcem całe życie, więc może nie mówmy o sprzedaży i zastanówmy się nad inną możliwością.

- No to weźmy pomocnika. Nie powinno być trudno go znaleźć.

Alice skrzywiła lekko usta.

- Niby nie, ale ja nie mam szczęścia. Na ogłoszenie w gazecie weterynaryjnej zgłosiło się pięć osób. Sami mężczyźni, oczywiście. Natychmiast zrezygnowali, kiedy się dowiadawali, że mają pracować u kobiety. A gdyby zgłosiła się kobieta, nie byliby z tego zadowoleni farmerzy. Wiesz, jacy są staroświeccy.

- To prawda - rzekła matka z westchnieniem. - Zostaje nam więc sprzedaż. Znajdę sobie jakieś małe mieszkanko, a ty możesz pracować, gdzie chcesz.

- Ale ja chcę tu zostać - zaprotestowała Alice. - Chcę rozwinąć praktykę ojca, chcę, żeby było tak jak wtedy, kiedy pracowaliśmy razem. Wydaje mi się...

Przerwał jej dzwonek telefonu. Alice podniosła słuchawkę, przez chwilę słuchała, po czym oznajmiła sucho:

- Tak, to miejsce jeszcze jest wolne. Miałam co prawda kilka zgłoszeń od mężczyzn, którzy mieli odpowiednie kwalifikacje, ale kiedy usłyszeli, że jestem właścicielką, szybko się wycofali. Męska duma nie pozwala im pracować u kobiety.

Po drugiej stronie słuchawki rozległ się tak wyraźny śmiech, że pani Norton wyprostowała się w fotelu i zaczęła uważniej nasłuchiwać. Kiedy w końcu Alice odłożyła słuchawkę, matka nie dopytywała się o nic, być może bojąc się następnego rozczarowania. Alice jednak się śmiała.

- Może to rozwiąże nasz problem. Ten pan ma kilka lat praktyki i szuka teraz miejsca, w którym mógłby się osiedlić i zapaść korzenie. To trochę potrwa, więc mógłby u nas pracować pół roku.

- Dlaczego tylko pół roku?

- Nie powiedziałam ci? Jego ojciec jest weterynarzem w Australii, a on właśnie przyjechał na pół roku do brata, który mieszka niedaleko stąd. Zobaczył moje ogłoszenie i pomyślał, że chętnie by przez te pół roku coś robił.

- Hm. - Pani Norton zrobiła sceptyczną minę.

- Co ci się nie podoba? - spytała Alice.

- Nie, nie. Nic. - I po chwili zastanowienia dodała: - Trochę to dziwne, że szuka pracy, skoro dopiero przyjechał. Przecież nie będzie miał czasu na rozrywki.

- Bo ja wiem... - Alice wzruszyła ramionami. - Chyba jutro wszystko wyjaśni, chociaż właściwie nie powinno nas to obchodzić. Ma przyjść po rannym dyżurze. Jeśli warunki będą mu odpowiadały, wyjedziemy w teren i pokażę mu farmy.

Zamilkła i utkwiała wzrok w ogniu płonącym na kominku.

Miała tak zmęczoną twarz, że matce serce ścisnęło się z żalu. Jej ukochana córka, która ma tylko dwadzieścia cztery lata, a już doświadczyła tylu zmar-twień! Powinna inaczej spędzać młodość. Z jej urodą...

Pani Norton westchnęła i oszacowała wzrokiem szczupłą sylwetkę córki, jej gęste, ciemne włosy o kasztanowym połysku, równe brwi, szare oczy i pełne usta, które teraz lekko się uśmiechały.

- A gdyby zgłosił się nagle ktoś na stałe? - powiedziała, tknięta pewną my-
ślą. - Co wtedy zrobisz?

- No tak... Słuchaj, będę się martwić, kiedy tak się stanie, choć trochę w to wątpię. W każdym razie powinnam go ostrzec.

Zamilkła, uświadamiając sobie, że spodobał jej się dźwięk jego głosu. Był głęboki, ciepły i radosny. Może pogodne usposobienie tego człowieka pomoże jej uporać się z depresją?

Poranne godziny w lecznicy minęły szybko. Nie miała tego dnia żadnych dramatycznych przypadków. Wyjątkiem była jedynie postawna kobieta, która nie chciała zrozumieć, dlaczego jej okropnie tłusty kot musi przejść na dietę. W końcu, stanowczo nie godząc się na zalecenia Alice, kobieta wzięła na ręce swoją pękata ulubienicę i oświadczyła, że Minnie prawie nic nie je, podobnie zresztą jak jej pani. Potem odwróciła się z godnością i w drzwiach zderzyła się z młodym mężczyzną, który na jej widok z przestachem odskoczył do tyłu. Gdy ko-bieta wreszcie opuściła lecznicę, mężczyzna wszedł do gabinetu i powiedział:

- Dzień dobry. Jestem James Preston, wczoraj do pani dzwoniłem. Czy nie przychodzę za wcześnie?

Alice przywitała go uśmiechem. Był wysoki, miał włosy niemal tak ciemne jak ona, opaloną i poważną twarz, którą rozjaśniały niebieskie oczy. Zorientowa-ła się, że mężczyzna spogląda na nią z aprobatą.

Gdy usiedli po przeciwnych stronach biurka, poczuła, że jest lekko zdener-wowana. Rozmowa z kandydatem, starającym się o pracę, była dla niej nowo-

ścią, a ten człowiek sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie niż ona. I to on pierwszy przerwał ciszę:

- Najpierw może powiem pani, jakie mam kwalifikacje i czym się zajmowałem. Otóż robiłem różne rzeczy, ale jeszcze na nic się nie zdecydowałem.

Słuchała go uważnie i nabierała pewności, że odpowiada jej wymaganiom. Na temat życia osobistego mówił niewiele, lecz gdy wspomniał, gdzie mieszka, zawołała:

- Fairlands? Ja i ojciec zawsze leczyliśmy tam zwierzęta, ale kiedy farma została sprzedana, przestano mnie wzywać. Myślałam, że nowy właściciel ma innego weterynarza.

- Myślę, że mój brat zostanie pani klientem. Zależy mu na tej farmie. Zaczyna właściwie od zera, ponieważ stado zostało sprzedane jeszcze przed sprzedażą domu. - Niespodziewanie obdarzył ją uśmiechem. - Skrećę mu kark, jeśli odważy się choćby pomyśleć o innym lekarzu; oczywiście, jeśli przyjmie mnie pani do pracy.

Roześmiała się wesoło.

- Jest od pana starszy?

- Ma trzydzieści pięć lat, a ja trzydzieści. Ma także miłą żonę i dwoje dzieci. - Urwał i zamyślił się, po czym dodał: - Ale myślę, że to wszystko nie bardzo panią interesuje. Chciałbym tylko powiedzieć, że nie musi się pani martwić o lokum dla mnie; mogę mieszkać u nich.

Tym razem zapanowało dłuższe milczenie. Mężczyzna najwyraźniej poważnie się nad czymś zastanawiał, po czym ostrożnie zaczął:

- Z pani słów wnoszę, że chce pani prowadzić praktykę na taką skalę jak ojciec. Nie jest to łatwe, bo na pani niekorzyść przemawia fakt, że jest pani kobietą.

- A przez pana przemawia dyskryminacja...

- Chyba tak to zabrzmiało, ale uważam - wzruszył ramionami - że nie pani przynosi to ujmę. Przecież nie jest tajemnicą, że jeśli chodzi o pracę przy zwierzętach hodowlanych...

- Wiem - przerwała mu chłodno. - I dlatego szukam pracownika, a nie pracownicy. Muszę jakoś utrzymać tych wahających się farmerów, bo jeśli raz ich stracę, już nigdy nie odzyskam.

Pokiwał w zadumie głową.

- Dobrze pani rozumuje, ale obawiam się, że ja mogę pomóc jedynie przez sześć miesięcy. Nawet jeśli mnie pani przyjmie, będzie pani musiała szukać kogoś na stałe.

- Zdaję sobie z tego sprawę - powiedziała z uśmiechem - ale potrzebuję kogoś natychmiast, a pan pojawił się dosłownie w ostatniej chwili. Może więc ustalimy warunki?

Zdążyli omówić najważniejsze rzeczy, kiedy zadzwonił telefon. Alice uważnie słuchała, po czym oznajmiła:

- Oczywiście, że sobie poradzę. Zaraz tam będę. - Odłożyła słuchawkę i zwróciła się do Jamesa: - Jeśli hodowca nie radzi sobie z rodzącą krową, nie będzie lekko. - Uśmiechnęła się jakby z żalem. - Pan Bailey będzie zachwycony, kiedy zobaczy chłopa. Uważa, że ja mogę mieć problemy.

- Ale hodowca czasami naprawdę nie może sobie poradzić z porodem. Na ogół oznacza to, że cielak leży w niewłaściwej pozycji i żeby go wyciągnąć, trzeba mieć dużo siły - znacznie więcej niż pani. I żadna wiedza tu nie pomoże. - Napotkał jej chłodne spojrzenie. - Chyba mam rację, prawda? - spytał z uśmiechem.

Wzruszyła ramionami.

- Tak, oczywiście. Gdyby ojciec żył, to on by pojechał na farmę. Proszę pamiętać, że ja wykonywałam mnóstwo czynności i farmerzy mnie zaakceptowali.

- Uśmiechnęła się ze smutkiem. - Pewnie dlatego, że wiedzieli, że w razie czego mogą wezwać ojca. No, chodźmy.

Z poczuciem ulgi wsiadała do samochodu. Chwilowo problem został rozwiązany, a fakt, że James będzie mieszkał u brata, bardzo wszystko uprościł. Westchnęła głęboko i James spojrzał na nią z zaciekawionym wyrazem twarzy.

- Coś się stało? Czy już żałuje pani swojej decyzji?

- Ależ skąd! - odparła radośnie. - Zdjął pan mi kamień z serca.

Miała ochotę powiedzieć mu, że chciałaby, żeby został na stałe, uznała jednak, że trochę na to za wcześnie. I przede wszystkim należy się przekonać, czy istotnie można na nim polegać. Toteż spytała jedynie od niechcienia:

- Co zamierza pan robić po upływie, tych sześciu miesięcy? Wróci pan do Australii, żeby pracować z ojcem?

- Nie. Z Australią łączą mnie smutne wspomnienia i gdyby nie to, że ojciec tam mieszka, nigdy bym już tam nie pojechał.

Zdumiona niespodziewaną goryczą w jego głosie, spojrzała na niego i zauważyła, że z ponurą miną patrzy przed siebie. Stłumiła niezdrową ciekawość i nie zapytała o nic. Resztę drogi przebyli w milczeniu, a tuż przed farmą oznajmiła:

- Powiem, że będzie pan ze mną pracował i zajmie się pan porodem. O Boże! - zawołała z przestrawieniem. - Zapomniałam o fartuchu i kaloszach. W samochodzie mam tylko swoje rzeczy.

- W porządku. Kiedy zamykała pani drzwi garażu, przerzuciłem rzeczy z mojego samochodu do tego bagażnika.

- Szybko pan myśli.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i spojrzała mu w oczy, które były w tej chwili tak ciepłe, że zaczęła w duchu serdecznie dziękować losowi za przychylność.

Pan Bailey był istotnie zachwycony, widząc u jej boku mężczyznę, i szybko zaprowadził ich do umęczonej krowy. Po krótkiej naradzie i badaniu James przystąpił do pracy. Trwało to blisko pół godziny i wyczerpało nawet jego. Po skończonej akcji rozmasował prawe ramię i spojrzał uważnie na cielę.

- Śliczna jałoweczka - oświadczył. - I na dodatek w doskonałym stanie mimo tej całej walki, jaką musiała stoczyć, żeby się dostać na świat.

Krowa odwróciła do tyłu łeb i mokrym nosem potarła swe dziecko, a po minucie cielętko przystąpiło do ssania. Ludzie przez chwilę obserwowali tę scenę w milczeniu, po czym James odezwał się:

- To zawsze wzrusza, prawda? Cud narodzin.

Alice skinęła ze zrozumieniem głową, farmer jednak wybuchnął śmiechem.

- Obawiam się, że ja jestem trochę prostacki. Myślę wyłącznie w kategoriach finansowych. - Urwał i spojrzał żartobliwym wzrokiem na Alice. - Czy dostanę rachunek od dwóch lekarzy?

- Ależ skąd! - zaprotestowała wesoło. - Pan Preston wykonał całą robotę i w gruncie rzeczy przejmie wyjazd w teren, toteż byłabym wdzięczna, gdyby zechciał pan o tym wspomnieć znajomym.

W drodze powrotnej do samochodu czuła żal, że duże zwierzęta musi przekazać Jamesowi, a także ulgę, że dzięki temu lecznica zacznie funkcjonować jak za dawnych czasów.

- Musi pani poznać mojego brata i jego żonę - powiedział niespodziewanie. - On ma ponad dwieście hektarów ziemi, głównie uprawnej, a kiedy rozbuduje stado, będzie poważnym klientem.

- Chętnie go poznam - odparła i dodała: - A jeśli się pan osiedli, to zapewne gdzieś blisko niego?

Ponieważ nie odpowiadał, Alice poczuła się trochę jak przywołane do porządku dziecko. Wzruszyła w końcu ramionami i pomyślała, że nawet jeśli James ma jakiś problem, z czasem zdoła się z nim uporać, ona zaś nie powinna się

wtrącać do jego życia prywatnego. Wystarczy, że chwilowo rozwiązał jej problem i powinna być losowi za to wdzięczna.

Gdy wrócili, w lecznicy zastali panią Norton i Alice przedstawiła ich sobie.

- Pojawił się pan naprawdę w ostatniej chwili - oznajmiła matka z uśmiechem. - Poważnie rozważaliśmy już możliwość sprzedaży domu i lecznicy.

James sprawiał wrażenie zaskoczonego.

- Ale dlaczego uciekać się do aż tak drastycznych kroków? Przecież córka mogła zrezygnować z wyjazdów na farmy i ograniczyć się do przyjmowania zwierząt w lecznicy.

- Owszem - przyznała Alice - lecz ojciec zawsze prowadził praktykę łączoną i chciałam, żeby tak zostało.

- A może zjadłby pan z nami lunch? - zaproponowała pani Norton. - Robię bardzo dobry omlet. Trzymamy kury.

- Z przyjemnością - odparł - ale proszę nie myśleć, że muszą panie mnie żywić. Będę jeździł na lunch do pubu, a kolacje jadł u brata.

Do posiłku Alice podała butelkę wina z zapasów ojca.

- To na pana cześć. - Wskazała na etykietę. - Australijskie. Chyba dobrze wybrałam?

James spojrział na butelkę i zbladł.

- Co za zbieg okoliczności - mruknął z niedowierzaniem. - Znam właścicieli tej winnicy. Moja narzeczona była ich córką. Prawdę powiedziawszy jestem trochę zdziwiony, że to wino jest znane w tej odległej części Anglii.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia, po czym pani Norton oświadczyła:

- Nie jesteśmy tutaj tak odcięci od świata jak reszta Sussex. Jeśli ktoś ma czas, w nadmorskich miasteczkach może znaleźć naprawdę cywilizowane rozrywki. A poza tym łatwo stąd pojechać do Francji. Dla Australijczyka powinno to być interesujące.

- Nie jestem Australijczykiem. Mój brat i ja urodziliśmy się i wychowywaliśmy w Shropshire. A potem ojca coś opętało i uparł się, że musi żyć w lepszym klimacie. No więc zamieszkał w końcu w Perth, w zachodniej Australii, ale ja i brat tęskniliśmy za Anglią i wróciliśmy.

Nagle zmienił temat i zaczął wypytywać o szczegóły dotyczące pracy. Chciał również wiedzieć, dlaczego Alice nie zatrudnia pielęgniarki.

- W tej chwili to bardzo drażliwa kwestia - odparła. - Ojciec zatrudniał wykwalifikowaną pielęgniarkę, ale musiała wyjechać, żeby zająć się chorą matką. Jej miejsce zajęła moja matka - posłała starszej pani ciepły uśmiech - i bardzo dobrze sobie z tym radzi. Może wkrótce będziemy mogli przyjąć jeszcze jedną pielęgniarkę, ale to sprawa przyszłości.

- No tak. - James pokiwał głową. - Żony weterynarzy: co oni by bez nich robili?

- A czy pana matka pomaga ojcu w lecznicy? - spytała pani Norton i Alice zauważyła, że uśmiech Jamesa przygasł. Uświadomiła sobie, że po raz któryś z kolei rozmowa przybiera obrót, który on uważa za zbyt osobisty.

- Pomagała mu przed śmiercią - rzucił szybko - ale teraz mam macochę, która nie interesuje się zwierzętami.

Alice chętnie zadałaby mu więcej pytań, lecz zrezygnowała, widząc wyraz jego twarzy. Spojrzała na matkę. Ta musiała wyczuć lekko napiętą atmosferę, toteż skomentowała pogodnie:

- Świat byłby bardzo nudny, gdybyśmy wszyscy byli tacy sami, prawda?

James odpowiedział uśmiechem. A więc problem stanowi drugie małżeństwo jego ojca, pomyślała Alice. Zareagował w sposób dosyć typowy, ale jest to wyłącznie jego sprawa. Zaintrygowała ją jednak wzmianka o byłej narzeczonej. Powiedział, że była córką właścicieli winnicy. Co to znaczy? Może to z jej powodu nie chce mówić o swoim życiu osobistym? Wzruszyła ramionami. Później, kiedy się lepiej poznają, może powie więcej.

Wkrótce James Preston stał się integralną częścią lecznicy. Farmerzy przyjęli go serdecznie, zwłaszcza że okazał się nader kompetentny. Pewnego ranka, po zakończeniu dosyć spokojnego dyżuru, wszedł do gabinetu Alice i spytał, czy ma w planie jakieś operacje, a kiedy pokręciła głową, zaproponował, by pojechała z nim odwiedzić jego brata.

- Obawiam się, że będę musiał uśpić ich starego psa - powiedział ze smutkiem. - Odkładają to od dłuższego czasu, ale już chyba nie ma wyjścia.

Postanowili jechać samochodem Jamesa, a pani Norton energicznym głosem obiecała, że będzie pilnować twierdzy.

Wiosna w tym roku przyszła późno, lecz w końcu wegetacja ruszyła. Gdy wyszli na dwór, Alice z przyjemnością wciągnęła powietrze w płuca. Błękitne niebo, drzewa pokryte jasną, nieśmiałą zielenią i napływające z oddali nawoływania kukułki... Wszystko to było cudowne. Wsiadając do samochodu, rzuciła Jamesowi promienny uśmiech.

- Uwielbiam kukułki. Kiedy je słyszę, naprawdę przenika mnie dreszcz. Skinął głową i zatrzymał na niej spojrzenie.

- Tak, to piękny dźwięk. I w ogóle dzień jest wspaniały. Anglia, wiosna, śliczna dziewczyna u boku: czy mężczyzna może marzyć o czymś więcej?

Powiedział to tak naturalnie i szczerze, że Alice zaczerwieniła się i poczuła dreszcz, który nie miał nic wspólnego z nawoływaniem kukułki. James przez chwilę patrzył na nią z aprobatą, po czym otrząsnął się, zupełnie jakby żałował swych słów, i rzucił:

- Jedźmy, dobrze?

Dziesięć minut później zatrzymał samochód przed bramą, za którą widać było duże, wiejskie domostwo.

- Jesteśmy na miejscu. Ładny dom, prawda?

- Tak. Znam go. Mówiłam panu, że ojciec opiekował się stadem poprzedniego właściciela.

- Teraz farma jest trochę zaniedbana, ale David chce powoli wszystko odnowić. Jego żona, Sophie, też snuje wielkie plany, ale tymczasem ma ręce pełne roboty przy dzieciach i zwierzętach, które zaczęli kupować. David postanowił, że farma będzie przynosić zyski, mimo że czasy są ciężkie.

- Bo ja wiem - mruknęła. - Niektórzy farmerzy dostają dotacje na tereny leżące odłogiem i uprawę pewnych zbóż, i chyba całkiem dobrze sobie radzą. Mam wrażenie, że pana brat nie miał dotąd do czynienia z ziemią. Kim on właściwie jest?

- Geodetą. Już się tym nie zajmuje, ale tamto doświadczenie może mu pomóc.

- Chyba zaryzykował, prawda? - Alice wyglądała na zamyśloną. - Miejmy nadzieję, że mu się powiedzie.

James roześmiał się.

- Nie ma powodu do zmartwień - wyjaśnił. - Matka zostawiła nam dosyć pieniędzy na całe życie. Nie twierdzę, że to dobrze. Mnie to właściwie trochę niepokoi, bo szukam, szukam, i niczego ciekawego nie mogę znaleźć. Może jednak w końcu wezmę się w garść. Właśnie za sześć miesięcy. - Milczał przez chwilę, po czym dokończył: - Tak sobie przynajmniej powiedziałem. Nie mogę nic nie robić; to mnie demoralizuje.

Wysiadł, otworzył bramę i wrócił do samochodu. Na początku podjazdu znowu wysiadł, by zamknąć bramę, a kiedy ponownie usadowił się za kierownicą, Alice usłyszała:

- Prawdę powiedziawszy uwielbiam pracę ze zwierzętami i czasami nawet myślę, że nie chciałbym robić niczego innego. Ten spadek po matce początkowo mnie trochę rozpuścił, ale już dochodzę do siebie. A to oznacza - spojrzał na nią

z szerokim uśmiechem - że mogę się zajmować weterynarią i nie przejmować biedą, związaną zwykle z tym zawodem.

- Musi pan być bardzo szczęśliwym człowiekiem...

- Szczęście to coś zupełnie innego. - Jego twarz była posepna, gdy rzucił obojętnie: - Chyba już nigdy nie będę szczęśliwy.

- Ale dlaczego? - spytała spontanicznie.

On jednak wzruszył ramionami i znowu odniosła wrażenie, że popełniła nie-takt.

Tymczasem James wyciągnął rękę w kierunku domu i ujrzała na podjeździe dziewczynę, zmierzającą w ich kierunku.

- To pana bratowa? - spytała.

- Ależ skąd! - zaprotestował z uśmiechem. - Za szczupłą na Sophie. To Becky Sinclair, administratorka. Nie ma na razie zbyt wiele roboty, więc pomaga czasami przy zwierzętach. Mój brat mówi, że Becky to prawdziwy skarb. Owszem, jest miła. Mieszka w jednym z tych domków, które minęliśmy przed chwilą.

James otworzył okno i zawołał Becky. Alice przyjrzała się jej z zaciekawieniem. Miała na sobie wysokie buty i wodoodporną kurtkę, zaś jej krótkie włosy rozwiewał wiatr. Wyglądała dosyć atrakcyjnie.

James przedstawił je sobie i gdy Alice wyciągnęła rękę, by uścisnąć jej dłoń, napotkała niechętnie spojrzenie zielonych oczu tamtej. Becky Sinclair najwyraźniej nie była zachwycona, widząc w samochodzie Jamesa kobietę. Alice uśmiechnęła się w duchu. Zazdrosna, i na dodatek to widać. Była ciekawa, czy James wie, że Becky świata poza nim nie widzi; i doszła do wniosku, że chyba nie, bo gdy Becky rzuciła: „Do zobaczenia”, nie odpowiedział, lecz z powrotem zaczął prawić o Sophie:

- Na pewno przygotowała wspaniały lunch. Jaki ma pani apetyt?

- Taki sobie, ale się staram.

Sophie, ładna i pulchna matka dwojga dzieci, powitała ich bardzo serdecznie. David, który się wkrótce pojawił, również był miły. Alice uznała, że jest trochę podobny do Jamesa, lecz nie tak przystojny.

Kiedy Sophie prowadziła gości do dużej kuchni zbudowanej z kamienia, powiedział ze śmiechem:

- Mamy jadalnię, ale zawsze jakoś wszyscy lądują w kuchni.

- Spowaźniał i dodał ze smutkiem: - Ale obawiam się, że dziś mamy powód.

- Wskazał na olbrzymiego labradora, leżącego na posłaniu pod piecykiem. - On ma czternaście lat, jest ślepy, wpada na meble i nic go nie interesuje. Miał u nas dobre życie, ale już nie jest szczęśliwy. To co? - zwrócił się do Jamesa.

- Jesteś gotowy?

Po chwili namysłu James rzekł powoli:

- Wolałbym to zostawić Alice. Ona zajmuje się zwierzętami domowymi. Ja pójdę do samochodu i przyniosę walizkę. Chwileczkę.

Alice podeszła do psa, pogłaskała go i zaczęła się wahać. James nie powinien jej obarczać takim smutnym zadaniem, zwłaszcza że jest to jej pierwsza wizyta w tym domu. Jednak brat z żoną przyjęli jego decyzję spokojnie. Sophie uklękła obok Alice, ucałowała łeb psa i wyszeptała do jego ucha kilka serdecznych słów. Kiedy James wrócił, zwróciła głowę w jego stronę.

Wkrótce było po wszystkim. Pies nie zareagował na wbicie igły ani na zastrzyk. Jednak gdy jego oddech stawał się coraz wolniejszy, zebranych wokół legowiska ludzi ogarnęło poczucie ulgi, że jego długie, szczęśliwe życie kończy się w sposób tak łagodny. Kiedy w końcu David owinał nieruchome ciało kocem i wyniósł je na dwór, informując, że pogrzebie psa później, Sophie wytarła oczy i powiedziała:

- Dzieci są u przyjaciół. Trochę ich do tego przygotowałam, a kiedy po nie pojedę, opowiem im więcej. - Po chwili namysłu oznajmiła: - Za kilka tygodni

poszukamy szczeniaka, żeby je pocieszyć. - Jej oczy znowu zaszkliły się łzami. - Nie wiem jednak, czy to pocieszy mnie.

Podczas lunchu rozmawiali głównie o gospodarstwie i gdy po kawie David i James poszli obejrzyć zwierzęta, Alice nie przystała na jego propozycję, by im towarzyszyć, i z drugą filiżanką kawy zasiadła w salonie.

Nagle uświadomiła sobie, że Sophie od pewnej chwili delikatnie wypytuje ją o życie osobiste. Ucieszyła się, że po raz pierwszy od śmierci ojca ma okazję porozmawiać o swych problemach, dotyczących głównie losu praktyki weterynaryjnej.

- Toteż rozumie pani, dlaczego tak się ucieszyłam z propozycji Jamesa.

Sophie spojrzała na nią w zadumie.

- On ma zamiar pracować u pani sześć miesięcy? A wie pani dlaczego?

Alice streściła jej pokrótce powody wyłuszczone przez Jamesa. Sophie patrzyła na nią sceptycznie.

- Był bardzo wstrząśnięty, kiedy jego matka i narzeczona zginęły w wypadku. A potem, jakby tego było za mało, ojciec się szybko ożenił. Wtedy się trochę poróżnili.

W oczach Alice odmalowało się współczucie.

- To straszne! - zawołała. - Nic dziwnego, że nie może znaleźć sobie miejsca.

Sophie uśmiechnęła się smutno.

- No cóż, David sobie jakoś z tym poradził, ale James ma problemy, zwłaszcza że wypadek spowodowała jego narzeczona. - Spojrzała na Alice z wahaniem.

- On nie może wiedzieć, że pani to powiedziała. Nawet z nami nie chce o tym rozmawiać.

Kiedy skończyła kawę, podjęła na nowo:

- Mamy nadzieję, że niedługo pozna kogoś, kto mu pomoże. Może tym kimś będzie nasza administratorka, Becky Sinclair.

Uważamy, że jest bardzo ładna, ale dotychczas nasze próby wyswatania ich nie powiodły się. - Spojrzała za okno i oznajmiła: - Wracają. - Potem uśmiechnęła się smutno do Alice i dodała: - Jak zwykle, nie potrafię utrzymać języka za zębami. Wierzę jednak, że zachowa to pani dla siebie, dobrze?

- Oczywiście - przytaknęła Alice i skierowała wzrok w stronę wchodzących do pokoju mężczyzn.

- Naprawdę opłaca się mieć lekarza w rodzinie - oświadczył David, uśmiechając się szeroko, po czym wyjaśnił Alice: - Be-linda, nasza maciora, urodziła dwanaścioro prosiąt i natychmiast straciła mleko. Bardzo się tym martwiłem, ale James dokonał cudu. Jeden zastrzyk za uchem - i mleko pojawiło się jak za dotknięciem różdżki. Prosięta mają teraz ucztę.

- Dlaczego za uchem? - spytała Sophie zaskoczona.

- Bo to jedyne chyba miejsce na tej grubej skórze, przez które przechodzi igła - wyjaśnił James, a Sophie się roześmiała.

- Codziennie się czegoś uczę - uznała i zwróciła się do Alice: - Ale zwierzętami gospodarskimi też się pani zajmuje, prawda? To wspaniale; będziemy mieć aż dwóch weterynarzy.

James obrzucił Alice szybkim spojrzeniem, lecz milczał, toteż poczuła się w obowiązku wyjaśnić za niego:

- Uzgodniliśmy, że ja zajmę się zwierzętami domowymi: psami, kotami i innymi, a James gospodarskimi. W razie nagłego wypadku możemy jednak zamienić się rolami.

Wkrótce pożegnali się i gdy mieli już wsiadać do samochodu, na podjeździe pojawiła się Becky i, ignorując Alice, zwróciła się do Jamesa:

- Tak się właśnie zastanawiam... Mam sukę, i to niezbyt młodą. Czy zająłbyś się nią? No wiesz, szczepienia i tak dalej...

- Hm. - James sprawiał wrażenie zakłopotanego. - Zwierzętami domowymi zajmuje się akurat Alice, więc...

- Ale ja chcę, żebyś ty leczył moją sukę - przerwała mu

Becky i popatrzyła wreszcie na Alice. - Chyba może pani zrobić dla mnie wyjątek, prawda?

Zawahała się, lecz James przyszedł jej z pomocą:

- Obawiam się, Becky, że nie. Muszę przestrzegać umowy, żeby uniknąć nieporozumień.

- To absurd! - zawołała Becky ostro. - Przecież ty tu mieszkasz! A jak Kora rozchoruje się w środku nocy, to czy mam czekać, aż przyjedzie twoja... no... pracodawczyni?

Zapadła chwila niezręcznego milczenia, po czym Alice odezwała się pojednawczo:

- Nagłe wypadki to co innego. -I chcąc rozładować napięcie, jakie się między nimi narodziło, powiedziała do Jamesa z uśmiechem: - Możemy zrobić dla Becky wyjątek. Niech się pan zajmie jej psem. Oczywiście, jeśli się pan zgadza.

- Skoro pani tak uważa - odparł sztywno i zwrócił się do Becky: - Oczywiście, muszę ci wystawiać rachunki jak każdemu klientowi.

- Naturalnie. - W głosie Becky zabrzmiała nuta triumfu. -Cieszę się, że rozumiesz.

Ignorując demonstracyjnie Alice, uśmiechnęła się promiennie do Jamesa i odeszła.

Do lecznicy wracali w milczeniu. Alice w duchu uśmiechała się smętnie. Motywy Becky były oczywiste i Alice czuła się nieco upokorzona. Nagle James powiedział z irytacją:

- Dlaczego tak łatwo się pani poddaje? Spojrzała na niego zdumiona.

- Chyba nie miałam wyboru, prawda?

- Mogła się pani uprzeć przy swoim. Mogła pani jej powiedzieć, że taki mamy podział pracy i jeśli jej to nie odpowiada, może poszukać sobie innego lekarza.

- To nonsens. Dlaczego miałabym tracić klienta z powodu tylko układu? A w ogóle, o co panu chodzi? Nie lubi jej pan?

- To nie ma nic do rzeczy. Nie chcę... - Urwał i wzruszył ramionami. - Ma pani rację. Właściwie to nie jest ważne.

Wydawało się, że temat został zakończony, kropla jednak draży skalę. James urwał w środku zdania, w którym było pewnie jakieś ukryte znaczenie. Czego więc nie chciał? Związku z Becky?

Związku z żadną kobietą? Czy tragiczna śmierć narzeczonej i matki pozostawiły w jego psychice ranę, która się nigdy nie zasklepi?

A może czuł się przytłoczony zabiegami brata i jego żony, którzy, mimo dobrych intencji, nie rozumieli, że jest jeszcze za wcześnie, by mógł znowu kogoś pokochać?

ROZDZIAŁ DRUGI

Oboje szybko zapomnieli o nieporozumieniu wywołanym sprawą labradorki Becky. Było oczywiste, że w praktyce natkną się na wiele przypadków, w których będą zmuszeni czynić odstępstwa od umowy.

Większość farmerów okazała zadowolenie z powodu pojawienia się Jamesa, kilku jednak wyraziło żal, że Alice rezygnuje z pracy przy zwierzętach gospodarskich. Tym wyjaśniała, że zawsze można ją wezwać, zwłaszcza jeśli James będzie zajęty gdzie indziej.

Pewnego ranka siedziała w gabinecie, zastanawiając się nad kolejami losu praktyki ojca, gdy wszedł James. Dzień był zimny, wiał ostry, wschodni wiatr, toteż James natychmiast podszedł do grzejnika i chwilę grzał ręce, zanim powiedział:

- Miałem telefon przed śniadaniem. Trudny poród na farmie Valley, ale w końcu wyciągnąłem tego cielaka. Thompson był zadowolony i wyznał mi w sekrecie, że jestem prawie tak dobry jak pani. Przesyła pozdrowienia. Czy w nagrodę dostanę kawy?

- Oczywiście. - Alice wstała i włączyła czajnik. - Przyznam, że niełatwo przysłoby mi zupełnie zrezygnować z pracy na farmach.

- Tak mi się wydaje - rzekł, siadając przy stole. - Prawdę mówiąc, też się nad tym zastanawiałem. Sam też chciałbym od czasu do czasu zająć się jakimś domowym zwierzęciem. Może zmienimy trochę naszą umowę?

Alice zrobiła kawę i postawiła kubki na stole, po czym usiadła naprzeciwko Jamesa.

- To chyba dobry pomysł - powiedziała w zadumie. - Bo kiedy pan wyjedzie...

- Właśnie, o tym też myślałem.

Urwał i w skupieniu zaczął pić kawę. Alice odniosła wrażenie, że ze strachu staje jej serce. Czy ma zamiar wyjechać wcześniej? Po chwili uspokoiła się jednak; wiedziała, że James nie zostawi jej tak nagle własnemu losowi. Spojrzała na niego pytającym wzrokiem i stwierdziła, że się uśmiecha.

- Wiem, o czym pani myśli, ale tym proszę się nie martwić. Ja zawsze dotrzymuję słowa. Na pewno zostanę sześć miesięcy, ale mam też dla pani propozycję: chciałbym się tu osiedlić i kupić udział... Zostać pani wspólnikiem na równych prawach. Mógłbym kupić sobie dom i nowe wyposażenie, żeby unowocześnić lecznicę. Nie przemyślałem tego jeszcze do końca, ale jeśli się pani ten pomysł nie podoba, proszę powiedzieć.

Patrzyła na niego w osłupieniu. Czowała, że powinna skakać z radości, z drugiej strony jednak trochę się wahała. Czy nie za wcześnie podejmować takie zobowiązania?

- No cóż, to bardzo atrakcyjna propozycja - odezwała się wreszcie, po czym dodała zmieszana: - Ale muszę się nad nią zastanowić. Poważnie zastanowić. Jest pan tu od kilku tygodni. Nie zna mnie pan, i ja pana też nie znam. Może podejmiemy decyzję przed końcem naszej umowy?

- Dobrze - odparł spokojnie. - To mi odpowiada. Ale proszę pamiętać, że nie zmienię zdania. Nie zgadzam się jednak ze stwierdzeniem, że nie znam pani. - Spojrzał na nią otwarcie i ciągnął: - Podziwiam panią. Jest pani nie tylko piękna, z czego zapewne nie zdaje sobie pani sprawy, ale także lojalna i szczerą. Pani nigdy nikogo nie zawiedzie. - Jego twarz sposepniała, gdy dodał: - Co jest niezwykle u kobiety. Na wspólnika jest pani idealna.

Alice poczuła, że pieką ją policzki, przyłożyła więc do nich dłonie i powiedziała niepewnym głosem:

- Kobiety na ogół są lojalne i szczerze. Dlaczego ma pan o nich tak złe zdanie?

- Mówię z doświadczenia, podczas gdy pani... Ale przepraszam, wprawiam panią w zakłopotanie. Wróćmy więc do naszej sprawy. Lecznica, którą pani prowadzi, bardzo mi się podoba. Trzeba ją tylko trochę unowocześnić. - Zauważył, że Alice marszczy czoło. - Proszę tak na mnie nie patrzeć. Wie pani przecież, że prędzej czy później trzeba to będzie zrobić. Trzeba także zatrudnić pielęgniarkę. Jestem pewien, że pani matka bardzo by się z tego ucieszyła. Może ją zastępować, gdy pielęgniarka będzie miała wolne.

Unikała jego wzroku, gdy wreszcie oświadczyła:

- Jest wiele racji w tym, co pan mówi, ale jeśli zgodzę się na wspólnika, lecznica nie będzie już tylko moja.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - Zmarszczył czoło, po czym uśmiechnął się z przekąsem. - Aha, nie chce pani spółki. Woli pani praktykę jednoosobową?

Alice wzruszyła ramionami i odparła bez przekonania:

- Tak było za czasów ojca.

- Ależ skąd! Pani mu pomagała. Było dwóch weterynarzy.

- No i dlatego szukałam pracownika, a nie wspólnika.

- Rozumiem - przyznał ironicznie. - Nic tu po nim. Zesztywniała. James otwarcie krytykował jej plany. Poczwała

się głupio. I tak będzie ciągle, pomyślała, jeśli przystanę na spółkę. On przejmie nad wszystkim kontrolę, a ja przestanę być niezależna.

- Jak już wspomniałam, za wcześnie na podejmowanie decyzji. - Do głowy przysła jej pewna myśl. - A pan też może zmienić zdanie. Dlaczego właściwie ma pan topić pieniądze w cudzej praktyce, skoro mógłby pan otworzyć własną?

Milczał i patrzył na nią uważnie, ona zaś, chcąc odwdzińczyć mu się pięknym za nadobne, dodała wyniośle:

- A może pozna pan dziewczynę, z którą będzie pan chciał się ożenić, a ona zechce zamieszkać w zupełnie innej części kraju?

Ujrzała, że jego twarz zmieniła się w mgnieniu oka. Zacisnął usta, jego oczy stały się lodowate, Alice jednak, powodowana żądzą zemsty, brnęła dalej:

- Chyba wiem, dlaczego pan chce tu zamieszkać. Według pana bratowej, Becky stanowi dla pana wspaniałą partię. Właściwie się z nią zgadzam. - Westchnęła głęboko i wypila kilka łyków kawy, patrząc na Jamesa ponad krawędzią kubka. Kiedy jego twarz nagle zbladła, przestraszyła się i zawołała: - Przepraszam! Nie powinnam była tego mówić.

- Istotnie. Nie ma pani prawa mówić o moim życiu prywatnym podczas rozmowy o interesach. Nie ma też pani prawa plotkować na mój temat z moją bratową. Ale - podjął po chwili milczenia - może to i dobrze, że pani to wszystko powiedziała. Proszę zapomnieć o mojej propozycji. Przepracuję u pani sześć miesięcy i do widzenia.

Wstał, wszedł do magazynku, by uzupełnić wyposażenie torby lekarskiej, po czym ruszył prosto do samochodu.

Alice była roztrzęsiona. Przyznała, że najwyraźniej posunęła się za daleko i James ma prawo być na nią zły. Może powinna go przeprosić? Wątpiła jednak, by puścił jej słowa w niepamięć. Westchnęła, wypila do końca kawę i zajęła się myciem kubków, kiedy weszła matka.

- Właśnie widziałam Jamesa - oznajmiła. - Czy coś się stało? Miał taką dziwną minę.

- Nic się takiego nie stało - odparła Alice z wahaniem. - Coś mi zaproponował, ale nie mogłam się na to zgodzić. No wiesz, nowoczesne wyposażenie. To kosztowne pomysły.

- Twój ojciec też o tym myślał - odparła matka w zadumie. - Nie pamiętasz?

- Owszem, pamiętam, ale wtedy praktyka kwitła. A potem ojciec zachorował i wszystko się rozmyło.

- Ale teraz są chyba jakieś perspektywy? Może niedługo będziesz mogła posłuchać rady Jamesa. O, dzwoni telefon.

Alice podnosiła słuchawkę, wyrażając wdzięczność opatrznosci, że nie musi dalej odpowiadać na pytania matki. Wysłuchiwała pełnego zdenerwowania głosu kobiety i poinformowała matkę:

- Pies uderzony przed samochód. Chyba coś poważnego. Wszystko było przygotowane, gdy przywieziono czarnego

labradora. Alice badała go ze ściśniętym sercem. Uniosła prawą, przednią łapę, która nie miała żadnych widocznych obrażeń, lecz łapa bezwładnie opadła na stół. Alice spojrzała na zaniepokojonego właściciela.

- Pies jest zszokowany i, oczywiście, mocno potłuczony. W tej łapie nie ma w ogóle czucia. Zrobimy prześwietlenie, ale nie mam wątpliwości, że uszkodzony został nerw promieniowy. W tej chwili nic nie mogę zrobić. - Po chwili namysłu dodała: - Istnieje pięćdziesiąt procent szansy, że nerw się zregeneruje, ale to może potrwać od czterech do sześciu miesięcy. Jeśli suka zacznie odrobinę unosić łapę do góry zamiast ją ciągnąć, to znaczy, że z tego wyjdzie. Przykro mi, panie Sanders.

- A jeśli nie, to co wtedy?

Nie miała ochoty usłyszeć tego pytania, musiała jednak na nie odpowiedzieć:

- Amputacja.

- O Boże! To straszne. Jak ona sobie poradzi, mając tylko trzy łapy? Już chyba lepiej będzie ją uśpić.

- Nie sądzę - sprzeciwiła się Alice. - Miałam już taki przypadek. Ojciec musiał kiedyś amputować łapę takiemu psu jak ten. Proszę poczekać, przyniosę zdjęcia.

Pospiesznie wyszła do swojego biura i wróciła z dużą kopertą w ręce.

- O, widzi pan, ten pies miał złośliwego guza na przedniej lewej łapie i trzeba ją było amputować aż do łopatki. Operacja została przeprowadzona trzy lata temu, a to są zdjęcia sprzed i po amputacji. Miesiąc później pies już biegał, wskakiwał do samochodu i dotrzymywał kroku dwóm pozostałym, gdy ich właściciel wyruszał na polowanie. A znajomy leśnik mówił mi, że widział kiedyś sarnę bez przedniej łapy. Zapewne się bez niej urodziła, ale radziła sobie znakomicie.

Pan Sanders spojrzał z czułością na sukę.

- Moja kochana Bess, co ja ci zrobiłem? Powinienem był cię trzymać na smyczy. Ten samochód nie mógł zatrzymać się w porę. Kierowca proponował, że zapłaci za leczenie, ale powiedziałem mu, że nie trzeba. Bess jest ubezpieczona, ale wcale nie o pieniądze się martwię.

- Bess ma pięćdziesiąt procent szans na wyzdrowienie i musi się pan na tym skoncentrować. Ma już trochę nadwagi, więc proszę uważać. Żadnych ciasteczek ani innych łakoci, bo przecież teraz przez jakiś czas mniej będzie się ruszać.

Pan Sanders niechętnie opuścił lecznicę, obiecując wrócić po psa, gdy Alice go wezwie. Gdy zamknęły się za nim drzwi, Alice westchnęła i powiedziała:

- Naprawdę mam nadzieję, że nie będę musiała jej uśpić. Ten Sanders nie wygląda mi na człowieka, który by cierpliwie czekał na regenerację jakiegoś nerwu.

Matka pokiwała głową.

- A jeśli zdecyduje się na amputację? Potrafisz to zrobić?

- Oczywiście - odparła z oburzeniem. - Jestem przecież kwalifikowanym chirurgiem, zapomniałaś? Umiejętności ojca nigdy byś nie kwestionowała, dlaczego więc...

- O Boże! - Pani Norton zaśmiała się nerwowo. - Przepraszam. Czasami naprawdę zapominam, że...

Urwała, a Alice poczuła, że nie czuje już do niej żalu. Matka zawsze pomagała jej najlepiej, jak umiała, i tylko czasami nie była w stanie wykonać czynności zawodowej pielęgniarki.

Takiej jak na przykład Carol, która pracowała u nich wiele lat i z żalem opuściła lecznicę, by zająć się schorowaną matką. Alice nagle coś sobie uświadomiła. Ten nekrolog w gazecie - matka Carol umarła ponad miesiąc temu, a ona, Alice, nawet nie złożyła przyjaciółce kondolencji.

Zawstydzona poszła do biura i zasiadła do pisania trudnego listu. Gryząc końcówkę długopisu, szukała właściwych słów, gdy nagle usłyszała, jak otwierają się drzwi gabinetu lekarskiego i wchodzi James.

Zapominając o ich niedawnej kłótni, powiedziała:

- Piszę spóźniony list do naszej dawnej pielęgniarki. Jej matka niedawno umarła i właśnie sobie o tym przypomniałam. Czuję się okropnie winna. Carol pracowała u mojego ojca tyle lat...

- Myśli pani, że mogłaby tu wrócić? To znaczy, jeśli nie znalazła innej pracy?

- Niezły pomysł. - Alice patrzyła na pustą jeszcze kartkę papieru. - Nie mogę jej o to pytać w liście kondolencyjnym, ale mogę ją zaprosić do siebie. - Niespodziewanie zmarszczyła czoło. - Chociaż nie jestem pewna, czy mnie stać na zatrudnienie pielęgniarki.

- No cóż, to zależy od pani - oznajmił chłodno. - Nie mogę pani udzielać takich rad. Pracuję tu tylko czasowo.

Ta aluzja do ich niedawnej rozmowy wywołała na twarzy Alice rumieniec. Zajęła się pisaniem listu, James jednak nie wychodził. Po chwili usłyszała jego głos:

- Przepraszam, że przeszkadzam, ale proszono mnie, żebym złożył pani propozycję.

- Słucham? Chyba tym razem nie chodzi o współnika?

- Nie - oświadczył sucho - ale to ma związek z szukaniem pielęgniarki. Pamięta pani Becky, tę dziewczynę z farmy mojego brata?

Alice skinęła głową i usiłowała nie okazać przerażenia. Zaraz stanie się coś nieprzyjemnego. James dodał kilka słów i jej obawy potwierdziły się.

- Becky miałyby tu pracować? - wykrztusiła w końcu. - Ale przecież ma pracę u pana brata?

- Nie, ma tylko część etatu. Mogłaby pracować u pani cztery dni tygodniowo po kilka godzin. A co ważniejsze, ona nie chce zapłaty. Chciałaby zostać pielęgniarką weterynaryjną i uważa, że kilka tygodni takiej praktyki bardzo jej się przyda. - Po chwili milczenia dodał: - Albo kilka miesięcy.

- Kilka miesięcy, rozumiem. To znaczy tak długo, póki pan tu będzie.

Chyba zdołała to powiedzieć bez sarkazmu w głosie, bo James skinął głową.

- Właśnie. Mogłaby uwolnić panią od papierkowej roboty, a w lecznicy też może się przydać. Pani matce byłoby trochę łatwiej.

- Wszystko pan przemyślał, prawda?

Tym razem usłyszał ironię w jej głosie, bo odparł ostro:

- Uważa pani, że się wtrącam? Może to i tak wygląda, ale w gruncie rzeczy chcę tylko pomóc. Dzięki temu będzie pani miała okazję wyjechać od czasu do czasu na jakąś farmę, a poza tym nie musiałaby pani sprzątać po zabiegach. Becky pomogłaby także uspokoić trudnych pacjentów.

Musiała przyznać, że w tym wszystkim jest sens i że postąpiłaby głupio, odmawiając. Nikt jednak nie pomyślał o tym, że ona nie lubi Becky, Becky zaś na pewno nie przepada za nią. Westchnęła.

- Nie wiem. Muszę się zastanowić. Ale nie mogę nic jej nie płacić. Czujębym się nieswojo, gdybym musiała jej na coś zwrócić uwagę.

Z ulgą powitała dzwonek telefonu. Przez chwilę słuchała, a potem przykryła dłonią mikrofon i zwróciła się do Jamesa:

- Ci ludzie, właściwie moi starzy przyjaciele, chcą, żeby przeprowadzić pełne badania konia, którego chcą kupić. Takie badania zawsze robił mój ojciec, a ja nie czuję się całkiem kompetentna. Czy pan by się tego podjął?

- Oczywiście. Wychowałem się wśród koni, a kiedy pracowałem u ojca, robiłem to. Czy ma pani formularze?

Skinęła głową. Co za ulga! Umówiła się szybko z przyjaciółmi i odłożyła słuchawkę.

- To są przyjaciele rodziców, a właściwie kiedyś byli, bo ostatnio straciliśmy z nimi kontakt - wyjaśniła Jamesowi. -Czuję się trochę z tego powodu winna i myślę, że pojedę z panem. Stajnie, z których pochodzi ten koń, znajdują się kilka kilometrów od ich domu.

Kiedy następnego ranka ruszyli w podróż, Alice niemal natychmiast pożałowała, że zgodziła się jechać jednym samochodem, ponieważ starsi państwo niewątpliwie zaproszą ją do siebie i zaproszenie to z konieczności obejmie Jamesa. Z jakiegoś powodu nie chciała, by dowiedział się o jej związku z Edwardem. Jego siostra Molly na pewno coś o nim napomknie i Alice będzie trudno ukryć zażenowanie.

No cóż, trzeba uważać i już. Może zresztą nie będzie to takie trudne? Edward mieszka gdzieś daleko, do dziś pewnie się już ożenił, więc właściwie nie ma powodu do zmartwień.

Myślami wróciła do czasów, kiedy wydawało jej się, że jest w nim zakochana i że oszaleje z rozpaczy, gdy zaręczył się z inną. Ukrywała swój smutek jak mogła, któregoś dnia jednak matka Edwarda otwarcie oświadczyła:

- Szkoda. Miałam nadzieję, że ty i on...

Alice gwałtownie wówczas zaprotestowała, jakoby coś ją z Edwardem łączyło, starsza pani jednak wyraźnie jej nie u wierzyła. Alice uznała wtedy za punkt honoru nie okazywać rozpaczy, nie była jednak w stanie widywać Edwar-

da w towarzystwie narzeczonej, toteż stopniowo przestała spotykać się z jego siostrą i rodzicami.

Dziś wiedziała, że jej uczucie było jedynie młodzieńczym zadurzeniem i że właściwie powinna być Edwardowi wdzięczna za to, że ją rzucił. Uśmiechnęła się do siebie smętnie i napotkała rozbawione spojrzenie Jamesa.

- Grosik za pani myśli - powiedział.

- Nie są aż tyle warte - odparła ze śmiechem. - Myślałam o bardzo dawnych czasach.

Przez chwilę milczał, po czym usłyszała:

- Jest pani dosyć tajemnicza. Ciekaw jestem, dlaczego wzniosła pani ten mur między sobą a światem.

- Niech pan nie żartuje! A poza tym proszę tak na mnie nie patrzeć. Wpadniemy do rowu, jeśli nie będzie pan uważał. Zaczynam żałować, że nie wzięliśmy dwóch samochodów.

- Przepraszam - rzekł z uśmiechem. - Myślę jednak, że człowiekowi mogą się przytrafić znacznie gorsze rzeczy, niż znalezienie się w rowie z panią.

Poczuła, że się czerwieni, poinstruowała go więc rzeczowo:

- Następnym zakrętem w prawo. Dom moich przyjaciół jest tuż za nim.

Na podjeździe czekała na nich Molly. Przywitała się serdecznie z Alice, a kiedy ta przedstawiła jej Jamesa, ustalono, że najpierw pojedą zbadać konia, a potem wrócą do domu na pogawędkę.

Kasztanka wyglądała na zdrową. Alice uważnie przyglądała się badaniu. James wyjął oftalmoskop i najpierw zbadał oczy konia, a potem obejrzał zęby.

- Sześć lat - powiedział, i właściciel skinął głową. Potem obejrzał skórę pyska i szyi, sprawdzając, czy nie ma na niej ran bądź wrzodów, po czym powiódł dłońmi po nogach klaczy, uciskając ścięgna i kości. W końcu zbadał strzałkę w kopycie konia i wyjaśnił Molly, że jest to rodzaj poduszeczki amortyzującej wstrząsy.

Obejrzał również stawy, po czym poprosił właściciela, by poprowadził ko-
byłę kawałek wolnym krokiem, a w drodze powrotnej puścił ją stępa. W ten spo-
sób mógł ocenić pracę mięśni i dojrzeć ewentualne kalectwo.

Potem osłuchał serce i w końcu poprosił właściciela, by osiodłał klacz i na
piętnaście minut puścił ją cwałem. Kiedy wyznaczony czas upłynął, ponownie
z badał dyszającej klaczy serce, a także płuca. W końcu obejrzał konia podczas
jeszcze jednego krótkiego spaceru i kłusu, co pozwoliło ustalić, czy nie nastąpiło
zesztywnienie. Wreszcie zwrócił się do Alice, która podała mu długi formularz.

Pokazał go Molly i wyjaśnił, że ten formularz to jakby dwie mapy konia:
jedna dla każdego boku.

- Zaznaczam wszystko na czerwono. To na przykład oznacza białą gwiazdę
na czole, a to blizny. Jeśli coś się stanie między chwilą obecną a momentem, kie-
dy wejdzie pani w posiadanie konia - na przykład koń skaleczy nogę o drut lub
zacznie kuleć - to badanie jest nieważne. - Spojrzał na Alice. - Mam rację?

- Tak - orzekła z uśmiechem, zadowolona, że James uznaje jej zwierzchność.
Postanowiła, że od tej pory będzie uważnie obserwować jego pracę.

Kiedy wrócili do domu, Molly oświadczyła:

- Zapraszam na drinka. Chcemy uczcić badanie, ale też, Alice, mamy dla
ciebie niespodziankę. Zgadnij. - I nie czekając na odpowiedź, zakończyła: -
Edward wrócił. Bez uprzedzenia. Wczoraj. Matka jest w siódmym niebie, a i ty
pewnie się ucieszysz. Poczekajcie, przyniosę szklanki. - W progu przystanąła.

- Wiesz, jednak się nie ożenił.

Alice zdołała powstrzymać okrzyk zdumienia, nie była jednak w stanie
ukryć zaczerwienionych policzków. Zirytowana, odwróciła się plecami do Jame-
sa, który patrzył na nią uważnie.

- Czuję się tu nieco zbyt czyny, może mógłbym posiedzieć w samochodzie?

- Niech pan nie mówi głupstw - rzuciła ostro. - To są przyjaciele. Nie ma pan
powodu czuć się nieswojo.

- Dlaczego więc pani jest taka zdenerwowana? Czy to z powodu powrotu syna przyjaciół?

Alice zamrugała powiekami. Ten człowiek jest zbyt spostrzegawczy! Trzeba go przywołać do porządku. Spojrzała na niego wyniośle i rzekła:

- Dobry Boże! Ta pana pseudopsychologia. Musi pan przestać, bo to naprawdę irytujące.

James otwierał już usta, by odpowiedzieć, gdy do pokoju weszły Molly i jej matka. Twarz tej drugiej promieniała radością. Objęła Alice serdecznie i oświadczyła:

- Nie mogłaś przyjechać w lepszej chwili. Edward zaraz tu będzie. Bardzo chce się z tobą zobaczyć.

- Już prawie nie pamiętam, jak on wygląda.-Alice za wszelką cenę starała się ukryć zażenowanie. - Ale przede wszystkim się cieszę z tego, że widzę was.

Kiedy przedstawiła pani domu Jamesa, Molly odciągnęła ją na bok.

- Nie przejmuj się mamą. Ona by wszystkich chciała swatać. Wiem, że Edward już cię nie interesuje, i postaram się mu to wytłumaczyć.

- Ale po co? On nigdy się mną nie interesował, a ja już dawno o nim zapomniałam.

- Wierzę ci - rzekła Molly ze współczuciem. - Wiesz, on się zmienił. Jest teraz zamożny, ma wielką firmę, choć jeszcze nie wiem jaką. O, chyba idzie.

W progu stanął wysoki mężczyzna, który natychmiast ruszył w jej stronę. Alice, świadoma uważnego spojrzenia pani Horsley, wyciągnęła do niego rękę i powiedziała:

- Edward? To naprawdę ty? Albo się zmieniłeś, albo zupełnie zapomniałam, jak wyglądasz.

ROZDZIAŁ TRZECI

Większość drogi powrotnej upłynęła w milczeniu. James siedział pogrążony we własnych myślach, Alice zaś zastanawiała się, dlaczego Edward tak bardzo się zmienił. Nie dostrzegła w nim ani śladu zabawnego chłopca z czasów młodości. Jego miejsce zastąpił wykształcony człowiek o sztywnych manierach, który nie spuszczał z niej uważnego wzroku. Najwyraźniej nie był zadowolony z tego, że jego powrót przyjęła tak obojętnie.

Teraz zmarszczyła czoło, przypomniawszy sobie jego zaproszenie na kolację, by porozmawiać o dawnych, dobrych czasach. Początkowo nawet nie słuchał jej tłumaczeń, dlaczego nie może się z nim umówić. Alice była stanowcza, pokonała ją jednak pani Horsley, która już na dworze zaprosiła Alice na lunch w najbliższy wolny dzień. Ponieważ do matki przyłączyła się Molly, Alice nie potrafiła odmówić.

Westchnęła w duszy, przewidując najrozmaitsze komplikacje, i niespodziewanie usłyszała głos Jamesa:

- Nie będzie łatwo, co?

Ponownie zirytowana jego przenikliwością, spytała ostro:

- A panu o co chodzi? Roześmiał się.

- To oczywiste. Pojawia się dawny narzeczony, pani nie chce odnowić znajomości, on postanawia pokonać pani opór i sekunduje mu w tym matka i siostra.

- Pan znowu to samo! - sarknęła ze złością. - Zdaje się, że wie pan więcej o mnie niż ja sama. Ale myli się pan. Nie było żadnej „znajomości”. Po prostu w młodości Edward, Molly i ja wszędzie chodziliśmy razem.

Spojrzała na niego lodowato i napotkała jego wzrok. Potem, gdy odwrócił głowę, by skoncentrować się na prowadzeniu samochodu, doznała dziwnego uczucia. Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że pożałowała swojego wybuchu.

- Przepraszam - mruknęła. - Nie miałam zamiaru pana obrazić, ale zdążył się pan już pewnie zorientować, że tracę cierpliwość, kiedy próbuje pan analizować moje zachowanie. Ciekawa jestem, jak by się pan czuł, gdybym to ja zaczęła się wtrącać w pana sprawy.

- Co chciałaby pani o mnie wiedzieć? - spytał chłodno. - Odpowiem na wszystkie pytania.

Zaskoczona, miała już mu ochotę wyjaśnić, że nic ją jego życie nie obchodzi, gdy nagle pojęła, że to nieprawda. Interesowało ją wiele rzeczy, czuła jednak, że chwilowo powinna opanować swoją ciekawość.

- Nie, nic - odparła. - Wiem już, że jest pan dobrym lekarzem, i że naprawdę mi pan pomaga. Nic więcej nie muszę wiedzieć.

- I taki jest pani stosunek do wszystkich? - Jego głos brzmiał teraz ostro. - Zastanawia się pani tylko nad tym, czy ktoś może do czegoś się pani przydać? - Spojrzał na nią przelotnie i dodał łagodniej: - Proszę nie odpowiadać. Jeśli się pani ze mną zgodzi, i tak nie uwierzę. Nie chce pani cierpieć i dlatego się pani broni. - Spojrzał na nią z uśmiechem. - Och, proszę się już nie złościć. Ta okropna mina nie pasuje do pani ślicznej twarzy.

- W przyszłości będziemy jeździć dwoma samochodami - syknęła. - Nie jestem w stanie z panem wytrzymać.

Przez resztę drogi milczał, a gdy tylko dojechali na miejsce, Alice poszła prosto do lecznicy, gdzie po minucie pojawił się również James. Pani Norton odkładała właśnie słuchawkę i z ulgą powitała ich powrót.

- Dzwonił pan Shelley z Hill Farm. Chce, żebyś jutro zrobiła badania ciążowe. Powiedziałam mu, że musisz najpierw przyjąć pacjentów w lecznicy, więc zgodził się potrzymać krowy w oborze do dziesiątej.

- Chyba będę musiała do niego zadzwonić - odparła Alice.

- Mogę tam być najwcześniej o wpół do jedenastej.

Szła w stronę telefonu, kiedy James się odezwał:

- Ja mogę to zrobić. Nie powinna pani denerwować lojalnego farmera. Jakoś dopasuję do tego resztę wizyt.

- To nie jest dobry pomysł. - Alice potrząsnęła głową. - Nie chcę panu Shelleyowi stwarzać żadnych komplikacji. To jeden z niewielu farmerów, który nie zwraca uwagi na płeć lekarza.

Pani Norton wzruszyła ramionami.

- A ja rozumiem, dlaczego wolą mężczyzn. Chodzi im o siłę fizyczną. - Zwróciła się do Jamesa: - Prawda?

- To jeden z powodów, choć w dzisiejszych czasach nie powinno to mieć żadnego znaczenia. Z wyjątkiem bardzo trudnych porodów, które zdarzają się dosyć rzadko, siła nie jest taka ważna. Myślę, że chodzi raczej o coś innego. Otóż niektórzy farmerzy są bardzo wrażliwi i czują się zażenowani, kiedy kobieta musi im wyjaśniać szczegóły życia płciowego zwierząt.

Pani Norton wybuchnęła śmiechem.

- No to wreszcie się dowiedziałam! Wrażliwi farmerzy, coś podobnego! - Zanim ruszyła do wyjścia, zwróciła się do Alice:

- Byłabym zapomniała. Jest list do ciebie. Położyłam go na biurku.

Kiedy Alice rozpoznała na kopercie charakter pisma, zrobiło jej się wstyd, że nie wysłała listu do Carol. Lecz gdy zaczęła czytać, westchnęła z ulgą. Matka najwidoczniej przesłała Carol list kondolencyjny w imieniu ich obu.

Nagle wydała okrzyk radości. Carol pisała, że chciałaby wrócić do swej dawnej pracy, jeśli miejsce jest wolne. Dalej Alice czytała z zapartym tchem: „Wiem, że po śmierci ojca jest wam ciężko, toteż nie chcę mojej dawnej pensji. Wystarczy mi o wiele mniej. Mogę nawet pracować za darmo, jeśli inaczej się nie da. Mama zostawiła mi sporo pieniędzy, więc brakuje mi jedynie zajęcia, a

wolę pracować u ciebie niż u kogoś innego. Mogę w pobliżu kupić sobie małe mieszkanie, toteż nie będę musiała mieszkać u was".

Alice nie posiadała się z radości. Teraz może z czystym sumieniem odmówić przyjęcia propozycji Becky. Ruszyła na poszukiwanie Jamesa.

Wysłuchał jej uważnie i obiecał, że wytłumaczy to wszystko Becky. A potem spytał od niechcienia:

- Oczywiście upłynie trochę czasu, zanim... jak ona się nazywa... a, Carol... zanim Carol się tu zainstaluje. Może by więc tymczasem Becky trochę popracowała?

Alice starała się ukryć irytację.

- To nie ma sensu. Znając Carol, zorganizuje wszystko natychmiast, jeśli tylko otrzyma ode mnie wiadomość. A oprócz tego Becky początkowo bardziej by przeszkadzała, niż pomagała.

James z ociąganiem pokiwał głową.

- Rozumiem panią. Po prostu myślałem, że to by był taki gest wobec Becky. Ale proszę się nie przejmować. Wszystko jej wytłumaczę.

- To, co pan mówi, wywołuje we mnie poczucie winy, musi pan jednak zrozumieć, że ja nie mogę ryzykować. Becky nie ma przecież żadnego doświadczenia w weterynarii. Może zrobić jakiś okropny błąd, no i...

Urwała, gdy James podniósł do góry rękę.

- Dobrze, dobrze, nie musi się pani usprawiedliwiać. Ja wszystko rozumiem. Dobro lecznicy jest na pierwszym miejscu.

- Tak. W tych okolicznościach tak. - Spojrzała na zegarek.

- Mamy spokojny dzień i właściwie mógłby pan jechać do domu. W razie czego mogę pana wezwać.

- Dobrze. Mój brat chciałby, żebym przejrzał jakieś dokumenty. - Wziął torbę i dodał: - I powiem Becky, że nie dostanie tej pracy. Będzie oczywiście zawiedziona.

Alice zamyśliła się, gdy wyszedł. James bardziej się tą Becky przejmuje niż konieczne. Może się w niej zakochał? To by wyjaśniało jego troskę. Z uczuciem niepokoju poszła odszukać matkę i przekazać jej wiadomość o liście Carol.

- Och, to cudownie! - zawołała matka. - Wreszcie zaczyna nam się wieść lepiej, prawda? - Po chwili namysłu ciągnęła:

- Niech mieszka u nas, kiedy będzie szukała mieszkania. Tu jest pełno miejsca, a poza tym lubimy się.

- Świetnie! Zadzwońmy do niej.

Alice odszukała w liście numer telefonu. Głos Carol początkowo był smutny, lecz gdy Alice przedstawiła jej swą propozycję, przyjaciółka wyraźnie poweselała.

- To rozwiąże mój ostatni problem - powiedziała - ponieważ ten dom jest już sprzedany i jego właściciele chcą się natychmiast wprowadzić.

Porozmawiały jeszcze chwilę, po czym Alice odłożyła słuchawkę i oznajmiła:

- Carol przyjedzie w przyszłym tygodniu. Naprawdę mam szczęście. - Spojrzała na zegarek i dodała: - Za pół godziny dyżur.

- Coś mi to przypomina. - Pani Norton sięgnęła po notatnik. - Pamiętasz tego psa, który wpadł pod samochód? Kiedy cię nie było, dzwonił właściciel. Chce przyjść po południu, żeby omówić sprawę amputacji tej łapy.

- Ależ prosiłam go, żeby z tym poczekał. Wypadek był niedawno i jeszcze nic nie wiadomo.

Matka wzruszyła ramionami.

- Ale ten biedak nie może patrzeć, jak pies wlecze łapę po ziemi.

- O Boże! Gdyby to był mój pies, poczekałabym, bo naprawdę jest duża szansa na wyleczenie. - Westchnęła. - Ale to nie jest mój pies i pewnie będę musiała tę łapę amputować. Chyba powinnam się poradzić Jamesa.

- Wolałabym, żeby to on asystował przy operacji - oznajmiła pani Norton. - Wiele potrafię znieść, ale patrzeć, jak usuwa się nogę zdrowemu skądinąd zwierzęciu, to ponad moje siły.

Alice pokiwała ze zrozumieniem głową i poszła do biura, by zadzwonić do Jamesa.

Czekała na jego przyjazd pogrążona w myślach. Nie miała wątpliwości, że coraz bardziej się od niego uzależnia. Można było na nim polegać, pomagał jej ogromnie, ale wrażenie robiła na niej nie tylko jego sprawność zawodowa.

Niechętnie przyznała, że jest bardzo atrakcyjny, że podoba jej się jego typ urody i sposób bycia. Był przystojny, lecz nie to było najważniejsze. Gdy napotykała jego wzrok lub gdy wchodził do pokoju, czuła przyjemne napięcie. Odnosiła wrażenie, że jego obecność jest elektryzująca.

Czy łączy ich jakaś wspólna cecha? Wspólna praca, dzielenie się problemami, miłość do zwierząt? W ciągu minionego roku czy nawet dwóch lat Alice prowadziła dość monotonne życie. Najpierw jej dni wypełniała choroba ojca, a potem trud prowadzenia lecznicy w pojedynkę. Nie miała czasu na zajmowanie się innymi rzeczami.

Przedtem czas wypełniał jej Edward. Teraz z uśmiechem wspominała swoje cierpienie, gdy się zaręczył. Była wtedy bardzo naiwna i uznała za miłość uczucie, które było w istocie wynikiem przyjaźni i wspólnego spędzania czasu. Czy teraz popełnia ten sam błąd? Powoli pokręciła głową. Nie miała ochoty ponownie wpadać w następną czarną dziurę.

A jeśli chodzi o Jamesa... Sprawia wrażenie człowieka, który nie interesuje się kobietami, niemniej wydaje się bardzo opiekuńczy wobec Becky, która jest wyraźnie w nim zadurzona. Alice powiedziała sobie, że w przypadku Jamesa nie wolno jej zrobić takiego samego błędu, jaki w przeszłości popełniła w przypadku Edwarda.

James wszedł do lecznicy dziesięć minut przed rozpoczęciem dyżuru.

- Chciałbym zamienić z panią parę słów, zanim ten niecierpliwy człowiek przyjedzie. - Spojrzał na nią pytająco. - Czy przeprowadzi pani amputację, jeśli się będzie upierał?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem - odparła. - Co pan by zrobił na moim miejscu?

- Chyba poleciłbym mu uzyskanie opinii innego specjalisty. Robiłbym wszystko, żeby tylko odwlec ten zabieg. Kiedy on ma tu być?

- Tuż przed końcem przyjęć.

James zmarszczył czoło, wahał się chwilę, po czym spytał:

- Jak pani sobie radzi z amputacjami? Wzruszyła ramionami.

- Dobrze. To nie jest wcale takie trudne. Ale nie jestem pewna, czy temu człowiekowi nie odmówię.

- Straci pani klienta. Może sobie pani na to pozwolić?

- Być może powinnam i o tym pomyśleć, ale... Westchnęła i ponownie wzruszyła ramionami.

- Rozumiem. - Ze współczuciem pokiwał głową. - Może oboje jakoś go przekonamy, żeby dał psu więcej czasu.

Wiedziała, że James mówi szczerze, toteż powiedziała impulsywnie:

- Nawet pan nie wie, jak to dobrze móc się z kimś podzielić kłopotami. Po śmierci ojca bardzo mi tego brakowało.

Nie odpowiedział, ale gdy spojrzała w jego oczy, doznała wstrząsu. Było w nich tyle czułości, że się zaczerwieniła. Odwróciła szybko wzrok i wstała.

- Jest pani bardzo dzielna - rzekł cicho. - Dopóki tu będę, postaram się jak najwięcej pani pomóc.

Odwróciła głowę i ujrzała w jego oczach ten sam wyraz. Gdy przebrzmiało echo ostatnich słów, rzekła z wdzięcznością:

- Już mi pan pomógł. Dzięki panu nie straciłam ani jednego farmera.

Nagle położył rękę na jej ramieniu. Uśmiechnęła się do niego, wiedząc, że jest to tylko przyjazny gest. Po chwili uwolniła się i odeszła kawałek dalej, zadowolona, że nie zauważył, jakie ten dotyk wywarł na niej wrażenie. Nagle, niespodziewanie dla siebie samej, zapragnęła znaleźć się w jego objęciach, w tej chwili jednak mogła jedynie starać się opanować.

- Słyszę samochody - oświadczyła. - Pora zaczynać. Tych samochodów nie było wiele, a z powodu deszczu nie

przyszło też wielu pacjentów, toteż Alice była zadowolona, że poczekalnia była pusta, gdy pojawił się pan Sanders. Bessy ciągnęła swą łapę tak żałośnie, że krajało się serce. Kiedy ją układano na stole, zachowywała się spokojnie, a podczas badania, gdy Alice ją pogłaskała, pomerdała nawet lekko ogonem.

- No cóż - powiedziała - nie widzę poprawy, ale trudno jej oczekiwać po tak krótkim czasie. Nie boli ją i widzę, że godzi się ze swoim kalectwem jak większość zwierząt. Poza tym nic jej nie dolega. - Urwała i po chwili namysłu dodała: - Myślę, że naprawdę należy dać jej szansę.

Pan Sanders potrząsnął ze smutkiem głową.

- Ale to by była tylko szansa, prawda? I nie tak znowu wielka? Ja po prostu nie mogę znieść tego widoku, zwłaszcza że to była moja wina. A poza tym, jeśli efekt ma być niewielki, po co mi te miesiące poświęceń? Mówi pani, że poza tym jest zdrowa. To znaczy, że przetrzyma operację?

Skinęła głową, po czym: oznajmiła:

- Mogłabym jej przepisać większe dawki witaminy B, choć nie jestem pewna, czy... A może zgodziłby się pan na miesiąc zwłoki?

- Nie - odparł stanowczo. - Już postanowiłem. Kiedy może pani przeprowadzić operację?

- A może skonsultowałby się pan z innym specjalistą? - wtrącił James. - Pomóżemy panu znaleźć kogoś niezależnego.

Mężczyzna potrząsnął przecząco głową.

- Nie widzę sensu. A leczenie tak czy owak potrwa kilka miesięcy. - Spojrzał na Alice. - Czy możemy się umówić?

Uznając swą porażkę, odparła:

- Jutro, jeśli to panu opowiada.

Potem udzieliła mu wskazówek, dotyczących przygotowania psa do operacji, a gdy drzwi się za nim zamknęły, spojrzała na Jamesa i bezradnie wzruszyła ramionami.

- No i widzi pan. Albo ja to zrobię, albo ktoś inny.

- Proszę się tak nie martwić. To jeszcze nie koniec świata. Poprzekładam wizyty i pomogę w tej operacji. Oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością i skinęła głową.

- Ma pan rację. Nie powinnam się tym tak przejmować. W końcu ten pacjent mojego ojca jeszcze po trzech latach nie odzyskał w pełni sił. - Popatrzyła na niego zamyślona. - Czy w takich przypadkach jest łatwiej być mężczyzną? Czy mężczyzna jest twardszy, mniej emocjonalny?

James podniósł do góry brwi.

- To dziwne pytanie. Nie podoba mi się to, co się za nim kryje. Czy pani sugeruje, że mężczyźni nie znają uczuć wyższych?

- Ależ nie, nie! - Zaczerwieniła się, po czym zmarszczyła czoło. - A może tak? Niech pan spojrzy na dzisiejszy świat: wszędzie tylko przemoc, walka o władzę, a wszystkim tym zajmują się mężczyźni.

- Jezus Maria! - Jego głos zabrzmiał ironicznie. - Co za zawzięta feministka!

- To tylko taka etykieta, prawda? Nie uważam się za feministkę, a już na pewno nie głoszę skrajnych poglądów. Myślę, że kobiety powinny zacząć mówić własnym głosem. Zmuszane byłyśmy do milczenia przez tysiące lat.

- O mój Boże! - zawołał przestraszony. - Chyba powinienem przeproszać za to, że jestem mężczyzną, ale nie mam takiego zamiaru. - Spojrzał na nią napraw-

dę zaintrygowany. - Czy pani nie lubi mężczyzn? Czy też miała pani może jakieś gorzkie doświadczenia, i stąd ta gorycz?

Alice czuła, że się czerwieni.

- Nie jestem zgorzkniała. I z mężczyznami właściwie niewiele miałam do czynienia. Kiedyś myślałam, że jeden z nich mnie zawiódł, ale to chyba była moja wina. Zbyt wiele rzeczy uważałam za proste i naturalne. - Urwała świadoma, że za dużo mu o sobie mówi, i zmieniła temat. - Ale pan z pewnością ma złe doświadczenia. Śmierć matki i narzeczonej to chyba jest powód do goryczy.

Jego twarz stężała.

- Kto pani to powiedział? - I zanim zdołała cokolwiek wyjaśnić, dodał: - No tak, moja bratowa.

Alice przypomniała sobie, że obiecała zatrzymać tę informację dla siebie, i ogarnęło ją poczucie winy.

- Przepraszam - szepnęła. - Nie powinnam była tego wspominać.

Wzruszył ramionami.

- Odnoszę wrażenie, że usłyszała pani nieprawdziwą wersję, ale wolałbym o tym nie mówić. - Spojrzał na zegarek. - Czy pamięta pani o tych badaniach?

- O Boże! - Alice chwyciła torbę lekarską. - Już najwyższy czas! Dziękuję, że mi pan przypomniał.

W drodze na farmę nie opuszczały jej posępne myśli. Żałowała, że wdała się w ten żalosny spór z Jamesem. Jej surowe poglądy na temat mężczyzn doprowadziły do tego, że zawiódła zaufanie jego bratowej.

Zaraz, zaraz, ale co on na to powiedział? Że usłyszała zapewne niewłaściwą wersję. Trochę to zagadkowe, ale chyba nie ma sensu nad tym rozmyślać. Ta sprawa nie ma z nią nic wspólnego. Koncentrując się na pracy, którą ją czekała, wjechała na obszerne podwórze.

Pan Shelley przywitał ją serdecznie i gdy szli do obory, zaczął mówić o nowej metodzie diagnozowania ciąży.

- Nie bardzo mi się to podoba, bo robią to laicy, ale oczywiście - tu uśmiechnął się - jest znacznie tańsza.

- Ma pan na myśli ultrasonografię? Skinął potakująco głową.

- Tak. Dużo tu o tym mówią, ale właściwie nie jestem pewien, czy to dobra metoda na wykrycie ciąży. Rozmawialiśmy o tym na ostatnim zebraniu farmerów. Fred Barker z farmy Underhill wiedział najwięcej. Wypróbował to kiedyś u jednego takiego, co się uważał za eksperta. Mówił, że takie badanie wypada taniej niż wzywanie drogiego weterynarza. A potem okazało się, że jedna z krów, która rzekomo była cielna, miała guz.

Weszli do obory.

- Właśnie - odparła Alice, wkładając kombinezon. - Ludzie bez odpowiednich kwalifikacji, wykonujący pracę profesjonalistów, nie są w stanie zauważyć niczego nienormalnego. Naukowcy utrzymują, że ultrasonograficzne badanie rektalne jest zabiegiem weterynaryjnym i ta sprawa powinna być uregulowana ustawowo. Laikom powinno się tego zabronić.

- Tak, tak - zgodził się farmer. - Pani wie, co mówi. Technika to cudowna rzecz, ale kiedy dostanie się w niepowołane ręce, może być bardzo groźna. - Wskazał dłonią na szereg krów. - To one. Uszanuję pani werdykt.

Nie było to przyjemne zajęcie, lecz Alice dobrze sobie radziła z poirytowanymi czasem zwierzętami, a w końcu orzekła:

- No, tym razem ma pan szczęście. Wszystkie są cielne.

- Bardzo się cieszę. - Wskazał zawieszzone przy ścianie wiadro z wodą. - W tym może pani z grubsza umyć ręce, a potem zapraszam do domu. Umyje się pani porządnie i wypijecie sobie z żoną herbatę. Ona zawsze chętnie panią widzi.

Wracała do domu w znacznie lepszym nastroju. Dowiedziała się od pana Shelleya, że dwóch innych klientów jej ojca chciało, by to ona go zastępowała, ale jeśli nie zawsze będzie mogła, zgadzają się na Jamesa. I o to właśnie jej chodziło.

Wiedziała jednak dobrze, że gdy umowa Jamesa dobiegnie końca, musi przyjąć innego weterynarza. Chyba że znowu wyniknie sprawa partnerstwa. Ponownie rozważała ten pomysł, gdy przypomniała sobie, że James z niego zrezygnował. Ale jeśli przypadkiem zmieni zdanie, musi być do tego przygotowana.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka James wszedł do lecznicy w momencie, gdy Alice przygotowywała się do operacji. Po chwili wszystko było gotowe. Gdy pojawiła się smutna labradorka wraz ze swym panem, Alice poprosiła tego ostatniego o podpisanie zgody na amputację i chciała się z nim pożegnać. Pan Sanders jednak potrząsnął głową i powiedział:

- Poczekam tutaj. Czy ma pani coś przeciwko temu?

- Myślę, że powinien pan wrócić do domu. Ten zabieg może trochę potrwać. Zadzwoń.

Mężczyzna stracił nagle panowanie nad sobą. Gdy spojrzał na psa, w jego oczach pojawiły się łzy. Wreszcie podniósł głowę i spojrzał na Alice, której twarz wyrażała współczucie. Wciągając spazmatycznie powietrze, odezwał się urywanym głosem:

- Wiem, że pani zdaniem powinienem zaczekać i dać jej szansę. I na pewno bym tak zrobił, ale nie mogę. Moja żona jest inwalidką i wymaga opieki. Widok Bess powłóczącej łapą irytuje ją tak bardzo, że nie mam wyjścia. Pozostaje mi tylko nadzieja, że po operacji Bess będzie mogła normalnie chodzić po domu, a także wyjść z nami, gdy wezmę żonę w wózku na spacer.

- Przepraszam, źle pana osądziłam - rzekła Alice. - W tej sytuacji trudno mi pana winić i przyrzekam, że zrobię wszystko, aby Bess mogła prowadzić aktywne życie. A może wróciłby pan jednak do domu, żeby uspokoić żonę? Na pewno jest sama.

- Nie, siedzi tam z siostrą. Ale ta siostra wszystko widzi czarno. - Nagle podjął decyzję. - Ma pani rację. Wrócę do domu i postaram się być optymistą. Po jego wyjściu powiedziała:

- Biedak. Jest rozdarty między miłością do żony a przywiązaniem do psa.

- Ale postępuje słusznie. Żona zasługuje na względy. - Po chwili namysłu dorzucił: - To dziwne, że los nie szczędzi tych, którzy już i tak mają ciężko. Jak to mówią, nieszczęścia chodzą parami...

- Och, niech pan przestanie. Mówią też, że po nocy w końcu następuje dzień. Kiedy człowiekowi wydaje się, że gorzej być nie może, zdarza się coś, co wszystko zmienia.

- Mnie to nie spotkało - odrzekł gorzko. - Pewnie mam przed sobą długą noc.

Chcąc go pocieszyć, powiedziała:

- No a jak to było ze mną? Już wydawało się, że będę musiała sprzedać lecznicę, a tu nagle pojawił się pan i problem zniknął.

- Dobry Boże! A więc widzi pani we mnie zbawcę zesłanego przez. los?

- A dlaczego nie? - spytała i poczuła, że czerwienieją jej policzki.

- A więc okazuje się, że moje życie ma jakiś sens - rzekł w zadumie. - Chciałbym jednak wiedzieć, czy za uratowanie pani czeka mnie jakaś nagroda. - Nagle wyciągnął rękę i przyciągnął Alice do siebie. - A może to? - Schylił głowę i delikatnie ją pocałował.

Powinna mu odpowiedzieć równie serdecznie, instynktownie jednak cofnęła się, a on natychmiast ją puścił.

Odwróciła się szybko, by nie zobaczył wyrazu jej twarzy. Ten gest poruszył ją bardziej, niż gotowa była przyznać. Potem odetchnęła głęboko, odwróciła ku niemu głowę i ujrzała, że stoi jak marmurowy posąg. W końcu oprzytomniał i powiedział:

- Chyba się pomyliłem. Przepraszam. Chciałem, żeby to było jak między przyjaciółmi, ale... - Urwał i spojrzął na zegarek. - Lepiej się zabierajmy do operacji, dobrze?

Gdy tylko znieczulenie zaczęło działać, Alice rozpoczęła ponury zabieg, który wykonywała szybko i sprawnie. James czuwał przy aparaturze anestezyjologicznej. Kiedy rana została zabezpieczona odpowiednim opatrunkiem i pies otrzymał niezbędne zastrzyki, Alice wydała z siebie długie westchnienie ulgi. Potem wraz z Jamesem ulokowała Bess w ciepłej klatce dla rekonwalescentów.

- Trzeba jej teraz pilnować - oznajmił James, a Alice skinęła głową.

- Posiedzę przy niej, zanim odzyska przytomność.

- Czy chciałaby pani, żeby Becky pani pomogła? Nie! - odpowiedział sam sobie. - Widzę, że nie ma pani na to ochoty i chyba ma pani rację. W takich przypadkach ona niewiele potrafi zdziałać.

Zirytowana jego ciągłą troską o Becky, spytała:

- Jeśli rzeczywiście chce zostać pielęgniarzką weterynaryjną, dlaczego nie namówi jej pan, żeby spróbowała w innej lecznicy?

Wzruszył ramionami, wziął torbę, zrobił kilka kroków w stronę drzwi i przystanął.

- A tak przy okazji... Czy umówiła się już pani na kolację w domu swojego przyjaciela?

- Jeszcze nie. - Spojrzała na niego z ciekawością. - Dlaczego pan pyta?

- Bo chciałbym wziąć wolny wieczór, żeby też się z kimś umówić.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną - odparła chłodno. - Proszę mi po prostu powiedzieć, kiedy pan chce mieć wolne.

- Dobrze. Powiem pani, kiedy już zdecyduję. Dziś wrócę dosyć późno, ale proszę do mnie dzwonić, gdyby były jakieś nocne wezwania.

- Proszę się nie martwić. Dam sobie radę.

- Wiem, ale nie chcę, żeby jeździła pani sama po ciemku, zwłaszcza do jakichś obcych ludzi.

Roześmiała się nieco ironicznie.

- Przecież ja nie robię takich głupstw. Nie musi pan być taki... opiekuńczy.

James spojrział na nią uważnie.

- Taką kobietą jak pani musi się ktoś opiekować. Poczula, że robi się jej gorąco.

- To staroświeckie, co pan mówi.

- Istotnie jestem staroświecki, jeśli chodzi o kobiety. No dobrze, to jutro wezmę sobie wolne. Zgadza się pani?

Gdy wyszedł, Alice poczęła się zastanawiać, kogo zaprosił na kolację, wkrótce jednak powiedziała sobie, że to nie jej sprawa. Pół godziny później, kiedy już telefonicznie uspokoiła pana Sandersa, usiadła przy labradorce. Nagle otworzyły się drzwi i ku jej zaskoczeniu ukazała się w nich Becky.

- Chciałabym z panią porozmawiać. Czy może mi pani poświęcić kilka minut?

Na twarzy Becky malował się wymuszony, uprzejmy uśmiech i w Alice zrodziły się najgorsze przeczucia. Odezwała się równie sztywno:

- Chyba wiem, o czym pani chce porozmawiać. Chodźmy do biura.

Becky wyłuszczyła swą prośbę bardzo przejrzyście i Alice zrozumiała, że gdyby nie szybki powrót Carol, miałyby trudności z udzieleniem jej odmowy. Chciała jednak okazać dziewczynie życzliwość, toteż powiedziała:

- Myślałam, że wyjaśniłam już wszystko Jamesowi. Czy nie mówił pani, że wraca nasza poprzednia pielęgniarka?

- Och, tak, on mówi mi wszystko - w jej głosie zabrzmiała złośliwość - ale czy mimo wszystko nie mogłabym pani pomagać kilka godzin w tygodniu? Mogę wykonywać różne czynności i nie zależy mi na pieniądzach. Po prostu chciałabym się czegoś nauczyć, nawet podstawowych rzeczy.

Becky była tak uparta, że Alice nie potrafiła odmówić wprost. Obiecała, że porozmawia na ten temat z Carol i da jej znać. Zła na siebie za brak konsekwencji została w biurze, by trochę ochłonać, a potem wróciła do chorego psa. I wtedy powtórnie otworzyły się drzwi i stanął w nich Edward. Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie, nie mam dla ciebie pacjenta - oznajmił ze śmiechem. - Mogę wejść?

Wzruszyła ramionami.

- Przecież już wszedłeś - mruknęła niezadowolona. - Masz jakąś sprawę?

Poszedł z nią do biura i usiadł w fotelu naprzeciwko. Kiedy spojrzała mu w oczy, dojrzała w nich wyraz znany jej z dawnych lat. Kiedyś skłonił ją do przypuszczenia, że mu na niej zależy. Sprawił jej potem wiele bólu, dziś jednak nie czuła do niego nic. Obojętnie czekała, aż się odezwie.

- Słyszałaś, oczywiście, że Peggy i ja rozeszliśmy się tuż po przyjeździe do Ameryki?

- Tak, przedwczoraj. Dlaczego pytasz?

- Chciałbym wiedzieć, co wtedy poczułaś. Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Co za pytanie! Nic nie poczułam, z wyjątkiem może zdziwienia.

Wyglądał na zawiedzionego.

- Chyba sobie na to zasłużyłem. Ale posłuchaj, już od początku wiedziałem, że popełniłem błąd. Matka też mnie przekonywała, że źle wybrałem. Jej zdaniem powinienem był zauważyć, że jesteś we mnie zakochana, ale tak zadurzyłem się w Peggy, że jej nie słuchałem.

- Było, minęło - odparła Alice. - Wyrosłam z tego. Dużo się wydarzyło w czasie twojej nieobecności.

Zauważyła, że twarz mu lekko drgnęła i pomyślała złośliwie, że role się odwróciły. Teraz on był w sytuacji petenta i jego następne słowa to potwierdziły:

- Alice, dostałem nauczkę. Przyjechałem się dowiedzieć, czy dalej mnie kochasz i spytać, czy wyjdiesz za mnie.

- Co? Chyba nie mówisz tego poważnie?! Wyciągnął rękę i ujął jej leżącą na biurku dłoń.

- Posłuchaj, mogę ci dużo zaoferować. Jestem w bardzo dobrej sytuacji finansowej, a teraz mam pracę w Europie. Nie będziesz już musiała tak pracować do upadłego. Wystarczy, że mi wybaczysz moją ślepotę.

Alice usiłowała cofnąć rękę, lecz za mocno ją trzymał. Siedziała więc neruchomo i z namysłem mu się przyglądała. To nie był już ten młodzieńcki chłopak, za którym tęskniła. Bardzo się zmienił. Nieco przytył, choć nadal był przystojny, i jego głos stał się jakby głębszy. Małżeństwo to rozwiązałoby jej wszystkie problemy, ale... Potrząsnęła głową i otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz ją uprzedził:

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Że jesteś lekarzem weterynarii i że chcesz prowadzić praktykę. Przecież bym ci tego nie zabronił, ale nie musiałabyś pracować tak ciężko jak teraz. Zatrudniłabyś więcej personelu, a sama zajmowałabyś się tylko przypadkami, które cię interesują. - Czekał na jej reakcję, lecz gdy milczała, dodał pospiesznie: - Widzę, że obiecuję ci zbyt wiele naraz, ale przyrzeknij mi, że się nad tym zastanowisz. Dobrze?

Puścił jej rękę, lecz patrzył na nią błagalnym wzrokiem i zrozumiała, że o swej decyzji będzie musiała poinformować go bardzo delikatnie. Oczywiście nie ma mowy, by została jego żoną. Nie kocha go i nigdy już nie będzie kochała.

Edward wstał i znowu chciał coś powiedzieć, kiedy zadzwonił telefon i Alice odetchnęła z ulgą. Podniosła słuchawkę i usłyszała głos Jamesa:

- Jestem na farmie Underhill. Mam trudny poród: bliźnięta. Nie chcą wyjść, więc trochę to potrwa. Chciałaby pani przyjechać? Mogę potrzebować pomocy.

Obiecała to zrobić jak najszybciej, po czym zwróciła się do Edwarda i streszczyła mu pokrótce treść rozmowy.

-Może mógłbym ci towarzyszyć? Tylko podczas jazdy, oczywiście. Potem poczekam w samochodzie, żeby nie przeszkadzać. A poza tym, jak wiesz, nie przepadam za takimi wydarzeniami.

Roześmiała się.

-O, tak! Pamiętam, jak się opierałeś, kiedy próbowałam zaciągnąć cię do gabinetu, gdy ojciec operował.

Edward wyraźnie poweselał.

- A widzisz! Łączą nas wspomnienia. Pamiętam też inne rzeczy...

Urwał, gdy zorientował się, że Alice patrzy na zegarek.

-Muszę powiedzieć mamie, zanim wyjdzie. I pobiegła do kuchni.

-Dobrze, dobrze - rzekła matka, wysłuchawszy jej. - Chyba jednak zostanę w domu. Widziałam, że Edward przyjechał. Powiedz mu, że może zostać. Zapraszam go na kawę. Chętnie się z nim spotkam. Powspominamy dawne czasy.

Alice z pewną satysfakcją przekazała Edwardowi prośbę matki, on jednak nie wykazał entuzjazmu.

- Chyba powinienem wracać. Twoja matka ma rację: dawne czasy nastaną wtedy, kiedy ty i ja zaczniemy siebie odwiedzać.

Alice pożegnała się z nim bez żalu i w radosnym nastroju ruszyła na farmę. Cieszyła ją perspektywa pracy z Jamesem. Pan Barker, właściciel gospodarstwa, podszedł do jej samochodu, gdy wjechała na podwórze.

- Idę na chwileczkę do domu - oznajmił - ale zaraz wrócę. Mam nadzieję, że wydobędziemy te cielaki żywe - dodał posepnie - choć czy będą cokolwiek warte, to już zupełnie inna sprawa.

Przez chwilę patrzyła na niego, nie rozumiejąc, potem nagle twarz jej się rozjaśniła.

- Nie chce, pan byczka i jałówki, bo wtedy jałówka będzie bezpłodna.

- Właśnie. - Pokiwał głową. - Najlepsze byłyby dwie jałówki. No, zobaczymy.

Poszedł szybko w stronę domu, Alice zaś uświadomiła sobie, że ten człowiek liczy tylko pieniądze, podczas gdy James ceni sobie każde uratowane życie. To jest nagroda za jego pracę. Gdy weszła do obory, pojęła, że tym razem praca ta jest naprawdę ciężka.

Pocierał właśnie prawe ramię.

- Trochę mnie boli. Ona ma tak silne skurcze, że ledwo ruszam ręką. Muszę je jakoś przerwać, żeby zmienić położenie pierwszego cielaka. Potem już wszystko będzie łatwe. Myślę, że ten drugi jeszcze żyje.

- Mam przygotować zastrzyk?

- Gdyby pani była tak miła - odparł z wdzięcznością, a gdy podała mu napełnioną strzykawkę, zrobił krowie zastrzyk i odsunął się. - Zaraz zacznie działać.

Pół godziny później James padał ze zmęczenia, farmer zaś nie posiadał się ze szczęścia.

- Dwie jałoweczki! Tego nie oczekiwałem! - Spojrzał z troską na krowę. - A jak ona?

- Poczuje się lepiej, gdy córeczki zaczną ssać. Musimy ją jednak obserwować. Wpadnę jutro. - James poklepał krowę po zadzie. - Dobra robota, stara!

Kilka minut później, gdy szli w stronę samochodów, James zaproponował:

- Spotkajmy się w pubie. Na pewno jest pani głodna. Ja zjadłbym konia z kopytami.

- Mama pewnie coś przygotowała - powiedziała z wahaniem. - Chyba nie...

- Przecież może pani do niej zadzwonić. Zasługuje pani na przerwę po takim pracowitym ranku. Ta amputacja...

- O Boże! Mama obiecała pilnować psa, ale kiedy przyszedł Edward...

- Edward? - James zmarszczył czoło. - Czego chciał?

- O, nic takiego - odparła, lecz zaczerwieniła się gwałtownie i wiedziała, że James to zauważył. - Dobrze - rzuciła pospiesznie - zadzwonię do mamy. Pożycz mi pan telefon?

Pani Norton rozproszyła jej obawy.

- Bess czuje się dobrze, a Edward dotrzymuje mi towarzystwa. Zmienił się, prawda? Chyba na lepsze.

- To on jeszcze tam jest? - Zirytowana zadowoleniem matki, zapomniała o obecności Jamesa i dodała: - W takim razie mu powiedz, że tak prędko nie wrócę. Po drodze zjem z Jamesem lunch.

- Ojej! - jęknęła matka. - Zaprosiłam Edwarda na lunch. Czy nie możesz przyjechać?

- Obawiam się, że w takiej sytuacji muszę. Szkoda, że go zaprosiłaś.

Oddała Jamesowi telefon z wyrazem nieskrywanego niezadowolenia na twarzy.

- Przykro mi - rzekła półgłosem. - Moja matka...

- Słyszałem - odparł chłodno. - Pani Edward ma pierwszeństwo.

- Mój Edward? Coś pan sobie uroił. On jest po prostu moim dawnym znajomym, ale mama zawsze go lubiła i myślę...

- Przecież ona chce, żebyście znów byli razem - przerwał jej gwałtownie. - To oczywiste.

Wzruszyła ramionami i spojrzała na zegarek. James uznał to za ostateczną odpowiedź, życzył jej miłego lunchu i poszedł do swojego samochodu.

W drodze do domu Alice z westchnieniem żalu minęła przytulny, stary pub. Z przyjemnością spędziłaby tę godzinę z Jamesem i była zirytowana, że matka, co prawda nieświadoma niczego, zmusiła ją do odmowy.

Nagle poczuła przygnębienie i złość, ponieważ odniosła wrażenie, że w jej życie co chwila wkracza jakiś nieproszony gość i przeszkadza jej być sobą. W

chwilę później zrobiło jej się siebie żal, lecz w końcu postanowiła wziąć się w karby. Uznała też, że większość problemów po prostu wymyśliła.

Zaoferowano jej pomoc i przyjaźń, a ona tymczasem postanowiła wszystko robić sama, przez co stawała się twarda i egoistyczna. Ze smutnym uśmiechem wjechała na podjazd wiodący do domu, zaparkowała samochód i weszła do środka.

Już w holu usłyszała śmiech matki i, pełna wyrzutów sumienia, uświadomiła sobie, że od śmierci ojca matka rzadko bywała w tak dobrym nastroju. Weszła więc do kuchni szeroko uśmiechnięta i radośnie przywitała matkę oraz Edwarda.

- Nie myśl, że zaniedbuję psa - powiedziała starsza pani. - Właśnie tam byłam. Wszystko jest dobrze.

- Nie powinnam cię zostawiać samej na tak długo. Nie lubię, kiedy jesteś uwiązana z powodu mojej pracy. - Pochyliła się i ucałowała matkę w policzek. - Słyszałam, że się śmiałaś. Opowiadacie sobie dowcipy?

- Edward zabawiał mnie wspomnieniami tych szaleństw, jakie ty, on i Molly wyprawialiście. Bardzo się cieszę, że znowu zaczniecie się widywać. Skoro masz już Jamesa, możesz częściej wychodzić, a kiedy przyjedzie Carol, będziesz miała naprawdę dużo czasu.

- Ty też - odparła Alice spokojnie i zapanowało milczenie.

- Może się umówimy na któryś wieczór? - odezwał się w końcu Edward.

- Nie poganiaj mnie - zaprotestowała Alice. - Poczekajmy, aż Carol zacznie pracę. Przyjeżdża w niedzielę wieczorem. A teraz muszę zajrzeć do mojej pacjentki.

- Lunch za dziesięć minut - oznajmiła matka, gdy Alice ruszyła w stronę drzwi, a Edward wstał i podążył za nią.

- Czy mogę pójść z tobą? - spytał. - Ale nie dlatego, że lubię oglądać okropne widoki.

- To wcale nie wygląda okropnie. Jestem dumna z tej operacji.

Edward skrzywił się.

- Gdyby to był mój pies, poprosiłbym, żeby go uspić. Spojrzała na niego zaintrygowana.

- Nie wierzę ci - rzekła. - Łatwo jest coś takiego powiedzieć o cudzym psie, ale o swoim myśli się zupełnie inaczej.

Roześmiał się.

- To tak samo jak z dziećmi. Cudze dzieci to potwory, a nasze to aniołki. - Urwał, a kiedy weszli do salki rekonwalescencyjnej, dodał łagodniej: - Jestem jednak pewien, że twoje dzieci będą aniołkami. Oczywiście pod warunkiem, że ja będę ich ojcem... - Znowu urwał, bo Alice gwałtownie się do niego odwróciła.

- Ty ojcem?! Na litość boską, Edward, skąd ten pomysł? Niezrażony, uśmiechnął się szeroko i wzruszył ramionami.

- Co, nie można sobie pomarzyć? Ale dwa lata temu ten pomysł by ci się spodobał, prawda?

- Pewnie tak - odparła szczerze. - Ale teraz się cieszę, że złudzenia mam już za sobą.

- A więc to dla ciebie były złudzenia?

Wyglądał na przybitego i Alice przez chwilę nawet mu współczuła, ale przecież musiała powiedzieć mu prawdę. Wiedziała też, że gdyby nie wiadomo jak nalegał, nie wolno jej ulec jego urokowi.

Czekał, aż dokona koniecznych zabiegów przy suce, a kilka minut później zasiedli przy stole w kuchni. Edward odzyskał nieco humor i potoczyła się rozmowa pełna nostalgicznych wspomnień. Później, kiedy już pili kawę, zadzwonił telefon. Alice ze zdumieniem usłyszała głos Becky:

- David prosił, żebym zadzwoniła. Chce, żeby James przyjechał i obejrzał tę maciore, która się wieczorem oprosiła. Ma sześcioro prosiąt, ale nie zwraca na nie uwagi i nie pozwala im ssać.

- Jamesa nie ma - odparła Alice spokojnie - ale mogę się z nim skontaktować. Jestem pewna, że przyjedzie najszybciej, jak będzie mógł.

Wystukiwała numer telefonu Jamesa, gdy Edward spytał:

- A dlaczego ty nie pojedziesz, skoro go nie ma?

- Bo taką mamy umowę. James zajmuje się dużymi zwierzętami i farmerzy są szczęśliwi. Wiesz, oni nie przepadają za lekarkami weterynarii.

- Gdybym był farmerem, pewnie uważałbym tak samo. -Wzruszył ramionami. - Może jestem trochę staroświecki, ale według mnie to męski zawód.

- Nonsens - rzuciła ironicznie, a gdy po drugiej stronie linii usłyszała Jamesa, wyjaśniła mu pokrótce, o co chodzi.

- Przykro mi, ale mam konia z ostrą kolką. Potrwa to co najmniej ze dwie godziny. Nie mogłaby pani mnie zastąpić?

- Oczywiście - odparła zadowolona. - Już jadę.

Gdy odłożyła słuchawkę, Edward patrzył na nią niepewnie.

- Właściwie nie mam nic do roboty - wyznał. - Mogę pojechać z tobą? Obiecuję, że nie będę ci przeszkadzał.

Zaskoczona wzruszyła ramionami. W gruncie rzeczy dlaczego nie miałyby z nią jechać? Powinna przestać wznosić coraz to nowe mury między sobą a światem.

- Dobrze - zgodziła się. - To nie jest skomplikowana sprawa. Wystarczy chyba zastrzyk.

- Dziwne prowadzisz życie - oświadczył w drodze do samochodu. - Jedziesz zrobić zastrzyk maciorze, podczas gdy większość kobiet nie potrafi odróżnić maciory od knura, a jeśli już mowa o zastrzykach...

Oboje wybuchnęli śmiechem i Alice zapaliła silnik.

- Chyba nie znasz lekarek weterynarii - oświadczyła złośliwie. - Twoje przyjaciółki były zapewne bardzo wykształcone i wyrafinowane. A tak a propos, dużo ich miałeś w Ameryce?

- Kilka, ale... No wiesz, to było kiedyś. Teraz moja przyszłość zależy wyłącznie od ciebie.

- Oj, chyba jednak mi przeszkadzasz. Pamiętaj, że jestem weterynarzem i nie lubię takich rozmów w pracy.

- Przepraszam - powiedział pokornie. - Poczekam, aż skończysz, choć, jak widzę, może to nie nastąpić nigdy.

- Musimy być do dyspozycji dwadzieścia cztery godziny na dobę i trudno o wolny czas - wyjaśniła chłodno.

- Odnoszę wrażenie, że jest to wręcz niemożliwe. Nie rozumiem tego...

Urwał i wzruszył ramionami, Alice zaś dokończyła szybko:

- Pewnie, że nie rozumiesz. Ja kocham ten zawód. Do tego trzeba mieć powołanie, tak jak w medycynie. Ale odkąd mam do pomocy Jamesa, jest mi znacznie łatwiej.

Edward nie odpowiedział, ona zaś zerknęła na niego i skonstatowała, że wpadł w posepny nastrój. Nagle przypomniała sobie, że jest to cecha jego charakteru. Był taki moment w przeszłości, kiedy się wydawało, że jego plany obrócić się wniwecz, i wtedy ona i jego siostra musiały mu we wszystkim ulegać, żeby nie pogarszać jego nastroju.

Nikt nie jest doskonały, przyznała w duchu, ale ciągnących się tygodniami dąsów wprost nie znosiła. Edward zaś często zachowywał się tak, jakby opatrność ciągle się na nim za coś niesprawiedliwie mściła.

Dojeżdżali już do farmy Prestonów. Zatrzymała samochód i wzięła z tylnego siedzenia torbę lekarską, po czym zwróciła się do Edwarda:

- Chlewnia jest tam, na tyłach domu. Wolisz poczekać tutaj? Niespodziewanie odzyskał dobry humor.

- Myślałem, że zobaczę, jak sobie radzisz z pacjentką. Próbuję się przyzwyczajać do tych dziwnych rzeczy, które musisz robić.

Po chwili wahania skinęła głową, a kiedy okrążali dom, okno na górze otworzyło się i Sophie zawołała:

- David musiał pojechać do miasta, ale Becky jest u świń. Ja zaraz przyjdę.

Alice nie była tym zachwycona. Po co ma się spotykać z Becky, która skrzywi się na jej widok? I jakby na potwierdzenie jej przeczuć, szeroki uśmiech Becky znikł, gdy ją zobaczyła.

- Dlaczego James nie przyjechał? - spytała od razu. Alice zapanowała nad złością i w miarę spokojnie udzieliła

Becky odpowiedzi.

- No cóż, może pani wystarczy - odparła nadęta Becky. - Oczywiście, jeśli pani sobie poradzi. - A spoglądając ironicznie na Edwarda, dodała: - A może przywiozła pani następnego weterynarza do pomocy?

Alice po raz drugi ugryzła się w język i z chłodnym uśmiechem przedstawiła Becky Edwarda. Potem, zwracając się w stronę przegród, spytała:

- Której mam zrobić zastrzyk?

- Tej przedostatniej. - Becky. ostentacyjnie wydeła usta. - Ale sama pani nie da rady. Ona ma okropny charakter. Rzuci się na panią, jak zobaczy strzykawkę. Naprawdę szkoda, że nie ma Jamesa.

Udając, że nie słyszy słów Becky, Alice uważnie obejrzała maciorę. Leżała na brzuchu i nie ruszała się, a małe bezskutecznie usiłowały dopchać się po pokarm. Po krótkim namyśle Alice otworzyła torbę, wyjęła strzykawkę i napełniła ją pituitryną. Maciora uniosła lekko głowę, gdy Alice weszła do zagrody, lecz nie zdążyła zareagować, bo Alice błyskawicznie zrobiła zastrzyk i opuściła legowisko zwierzęcia.

- Coś podobnego! - powiedział Edward, ocierając czoło z potu. - Dlaczego wbiłaś igłę za uchem?

- Ponieważ jest to jedyne miejsce u świń, gdzie można użyć cienkiej igły - odparła, chowając strzykawkę do torby.

- Niepotrzebnie pani ryzykowała - odezwała się Becky. - Nikt nie powinien podchodzić do maciory tak blisko tuż po oproszeniu. Myślałam, że pani to wie.

Alice jakby na to czekała. Ta zarozumiała, przemądrzała pannica zasługuje na przywołanie do porządku!

- Moje doświadczenie nauczyło mnie, co można, a czego nie można robić ze zwierzętami. Proponuję, żeby zajęła się pani swoją robotą, a ja będę pilnować swojej.

- Słusznie - powiedział męski głos. Alice obejrzała się i ujrzała Jamesa, który patrzył na nią z aprobującym uśmiechem. - Skończyłem wcześniej, niż myślałem, ale widzę, że sobie pani poradziła.

- O, James! - zawołała Becky radośnie. - Myślisz, że z maciorą już wszystko w porządku? W końcu duże zwierzęta są twoją specjalnością, prawda?

Alice czuła, jak narasta w niej gniew. Nawet Edward patrzył na Becky ze zdziwieniem, James jednak roześmiał się i wskazał na boks.

- A ty jak myślisz? Nie widzisz, że Alice działa cuda? Wszystkie oczy zwróciły się na maciore, która leżała na boku,

a prosiaczki potykały się jeden o drugiego w walce o mleko, którego już było w bród. Becky wzruszyła ramionami.

- No cóż, muszę wracać do domu. Do zobaczenia, James. Uśmiechnęła się do niego, demonstracyjnie ignorując Alice i Edwarda.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Alice szła do samochodu, kiedy zauważyła, że Becky zawraca, by porozmawiać z Jamesem. Poczowała ukłucie jakby... zazdrości? No nie! Trzeba widzieć wszystko we właściwych proporcjach. James nie jest jej własnością. Do rzeczy-wistości przywołał ją głos Edwarda:

- Jesteś bardzo zamyślona. Czy zastanawiasz się nad tym, dlaczego ta dziewczyna cię nie lubi?

- Nie lubi? Bo ja wiem... Myślę, że po prostu ma taki sposób bycia. Ale rzeczywiście nie przepada za mną.

- To uczucie jest chyba odwzajemnione, prawda? - Edward nie dawał za wygraną. - Ciekaw jestem dlaczego. Odniosłem wrażenie, że ona traktuje cię jak rywalkę.

- A cóż to za pomysł? - sarknęła ze złością i wsiadła do samochodu.

- Wiesz przecież, o co mi chodzi. Ona o tobie myśli to, co ja zaczynam myśleć o Jamesie.

Spojrzała na niego ostro, na co zareagował nieco drwiącym uśmiechem.

- Ponosi cię wyobrażenia - oświadczyła chłodno. - Ja i Becky nie jesteśmy żadnymi rywalkami, zapewniam cię. A ty daj sobie spokój z Jamesem.

- Becky mnie nie obchodzi, ale czuję się trochę dziwnie, kiedy widzę cię z Jamesem. Coś między wami jest.

- Łączy nas jedynie praca - wyjaśniła zirytowanym tonem. - Na litość boską, przestań sobie coś roić. A poza tym bez przerwy dajesz mi do zrozumienia, że

znasz mnie lepiej niż ja sama. A to nieprawda! Bardzo się zmieniłam od czasu, kiedy...

- Kiedy zaręczyłem się z Peggy? W każdym razie dobrze ukrywałaś swoje uczucia. Ja niczego się wtedy nie domyślałem. Później matka mi o wszystkim powiedziała.

- Jak mogłeś się czegokolwiek domyślać, jeśli poza Peggy nie widziałeś świata?

- A gdybym jej nie poznał i poprosiłbym cię wtedy o rękę, to czy byś za mnie wyszła?

- Chyba tak. - Poczula, że robi jej się gorąco i postanowiła nie mieć dla niego litości. -I któregoś dnia bym tego pożałowała, bo to, co do ciebie czułam, nie było miłością. Na szczęście wyjechałeś.

- Jesteś trochę okrutna.

Sprawiał wrażenie przygnębionego, ale wiedziała, że jeśli zacznie łagodzić sens swoich słów, nigdy się od niego nie uwolni.

- Zmieńmy temat - zażądała. - Ten już mnie znudził. Przez resztę drogi Edward milczał, toteż gdy przed lecznicą

wysiedli z samochodu, odezwała się już uprzejmie:

- Nie mogę cię zaprosić. Mam mnóstwo pracy. Trochę poweselał, natomiast ona zbladła, gdy powiedział:

- Nie umówiliśmy się jeszcze na kolację. Alice, przecież jesteśmy przyjaciółmi. Nie skreślaj mnie całkiem.

Jego głos był tak proszący, że złagodniała. Kusila ją propozycja wyjścia na kolację, ale nie chciała być z Edwardem sam na sam.

- A Molly? - spytała. - Ona była wtedy moją najbliższą przyjaciółką.

- Co? - Zmarszczył czoło. - Och, nie wygłupiaj się. Nie będzie chciała grać przyzwoitki.

- Bez Molly nie pójdę.

- Czy to ultimatum?

. Skinęła głową, uśmiechnęła się w duchu i pomaszzerowała do domu. Po kilku sekundach usłyszała jego wołanie:

- Dobrze! Zapytam ją i zadzwonię. A czy nie powinienem też zabrać naszej matki?

W jego głosie było tyle sarkazmu, że nie mogła się nie roześmiać. Kiedy jednak weszła do domu, przestała o nim myśleć.

- Właśnie byłam u labradorki - rzekła matka na powitanie. - Ona już wstaje. Trochę się chwieje, oczywiście, ale jest coraz silniejsza. Aha, James przyjechał. Mówi, że pan Sanders chce wieczorem ją zabrać. Czy to nie za wcześnie?

- Chyba tak - odparła. - Pójdę do niej.

Kiedy weszła do pokoiku dla rekonwalescentów, James odwrócił w jej stronę głowę i oznajmił:

- Ona jest cudowna. Niech pani zobaczy, już łapie równowagę. Za dzień lub dwa będzie chodzić. Czy nie powinniśmy jej tu zatrzymać?

- Nie wiem, co powie na to pan Sanders. Może zmieni zdanie, kiedy ją zobaczy? W tej chwili nie wygląda pięknie, no i trzeba ją obserwować.

Właściciel jednak bardzo dobrze zniósł widok okaleczonej Bess. Kiwał głową, gdy Alice wyjaśniała mu, że pies będzie wyglądać znacznie lepiej po zdjęciu szwów, kiedy ranę zakryje sierść.

- Teraz opatrunek rzuca się w oczy - dodała - ale po zdjęciu bandażu bardzo szybko zacznie sobie radzić bez tej nogi. Czy chce pan, żeby u nas została?

- Nie - odparł. - Powiedziałem żonie, że początkowo będzie w szoku, i jest na to przygotowana. Chyba potrzebuje Bess, a Bess będzie tak szczęśliwa z powrotu do domu, że może dzięki temu szybciej wyzdrowieje. Czy może iść do samochodu?

Alice potrząsnęła głową.

- Jeszcze nie. W domu proszę ją położyć od razu na jej legowisku i niech sama decyduje, na co ma siły. Przyjdę ją zbadać.

Gdy Alice ustaliła z panem Sandersem dzień wizyty, James zaproponował:

- Jeśli pojedzie pan pod same drzwi, ja ją zaniosę.

Bess, ulokowana na tylnym siedzeniu samochodu swego pana, istotnie wyglądała na szczęśliwszą.

- Nawet merdała ogonem, kiedy obwąchiwała wnętrze - o-znajmił James, gdy wrócił do Alice. - Niech pani nie płacze. Wiem, że żal pani tego człowieka, ale może być pani dumna ze wspaniale wykonanej operacji.

Alice zarumieniła się lekko i wytarła oczy.

- Żal mi też tego biednego psa - wyznała.

- Wiem - powiedział z sympatią w głosie - ale pani też zasługuje na współczucie. Chodzi mi o ten ciężki okres po śmierci ojca i walkę, jaką musiała pani stoczyć o utrzymanie praktyki. Przecież harowała pani od świtu do nocy.

Uśmiechnęła się blado.

- Będzie mi łatwiej, kiedy Carol przyjedzie. Zwłaszcza że pan przejął połowę obowiązków. Naprawdę miałam szczęście, że zobaczył pan to ogłoszenie.

- To nie szczęście - zaprotestował. - To, jak pani sama powiedziała, zrzęczenie losu. Myślę, że my... - Urwał nagle i zaczął nasłuchiwać, po czym dodał: - Sądząc po odgłosach dochodzących z poczekalni, będzie pani miała bardzo pracowity dyżur. Może mógłbym pomóc?

Skinęła głową i wkrótce zajęli się najróżniejszymi zwierzętami. Wśród pacjentów dominowały psy i koty, cierpiące zazwyczaj na najczęstsze przypadłości: pchły, zapalenia uszu, robaki oraz problemy z przewodem pokarmowym, wywołane niewłaściwą dietą. Alice przepisywała im odpowiednie tabletki, maści lub w razie konieczności antybiotyki - i pacjentów szybko ubywało.

Nadszedł także smutny moment, kiedy jednego z pacjentów trzeba było uśpić. Takie przeżycie jest zawsze bardziej traumatyczne dla właściciela niż dla

zmęczonego życiem kota lub psa. Alice nie znosiła tego przykrego obowiązku i była zadowolona, że tym razem James zajął się zwierzęciem.

Dwa przypadki problemów z zębami przełożyła na przyszły tydzień, wiedząc, że Carol zajmie się tym w sposób fachowy. Potem małemu królikowi trzeba było przeciąć duży wrzód i Alice zrobiło się trochę niedobrze. Wstrzyknęła królikowi antybiotyki i oddała zwierzątko właścicielowi.

Gdy ten opuścił gabinet, zauważyła, że James przygląda się jej z niepokojem. Zanim poprosiła następnego pacjenta, podszedł do niej i zaproponował:

- Proszę iść do biura i odpocząć. Ja ich przyjmę. Pani jest wykończona. - Mimo że potrząsnęła przecząco głową, popchnął ją lekko w stronę biura i posadził w fotelu. Nagle ujął jej prawą rękę i zaskoczony spytał: - A co to za paskudne zadrapanie? Kot?

Skinęła głową.

- Dostyc energiczny. Ale to nic groźnego.

- Nonsens. Proszę mi to pokazać.

Pochylił się nad nią, pokrył nadgarstek maścią zawierającą antybiotyki, a kiedy zakładał opatrunek, Alice poczuła nagle nieprzewartą chęć, by pogłaskać go po włosach.

- Gotowe - orzekł i spojrzal na nią. - A teraz przyjmę resztę pacjentów. - Uśmiechnął się ciepło. - Jest pani wolna. Proszę pójść do siebie, wziąć kąpiel, a ja zabiorę panią potem na kolację.

Odpowiedziała mu uśmiechem, lecz potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Mama coś tam gotuje. A oprócz tego...

- Z takimi przeszkodami łatwo się można uporać - oznajmił i podniósł słuchawkę. Odłożył ją chwilę potem z zadowoloną miną. - Mama uważa, że to dobry pomysł. Przełączy do mnie wszystkie naprawdę pilne telefony, więc... - spojrzal na zegarek - godzina powinna pani wystarczyć.

- Dziękuję, ale mimo wszystko nie mogę. Spojrzal na nią zdumiony.

- Dlaczego?

- Po pierwsze - odparła z namysłem - nie mam zamiaru traktować matki jak niewolnicy. Ostatnio zbyt wiele czasu spędza przy telefonie. A po drugie nie lubię, kiedy ktoś mną rządzi.

- E, to chyba przesada. - Patrzył na nią uważnie. - W takim razie chodzi tu o mnie. Gdyby zaprosił panią Edward, na pewno by pani poszła.

- To śmieszne! - zawołała zaskoczona. - Dziś po prostu nie chcę z nikim nigdzie wychodzić. - Wstała i ruszyła w kierunku drzwi. - Dajmy temu spokój, dobrze, James?

Nagle poczuła na ramionach jego ręce i gdy znalazła się w jego objęciach, znieruchomiała. Wyraz jego twarzy sprawił, że słowa uwięzły jej w gardle i zachłysnęła się powietrzem, gdy się schylił, żeby ją pocałować. W ostatniej chwili zawahał się, cofnął i ją puścił. Przez chwilę stała jeszcze sztywno, bojąc się zrobić krok w którąkolwiek stronę, a potem, jakby przez mgłę, dotarły do niej słowa:

-Przepraszam. Wybacz mi, proszę. Coś jest w tobie, w pani... takiego, że... Przepraszam. Wiem tylko, że chcę panią, ciebie... chronić, pomóc. To bardzo staroświeckie słowa, ale tylko w ten sposób potrafię określić, co do ciebie czuję. Jest oczywiście takie słowo, w którym zawierają się wszystkie te uczucia, ale... - jego głos nagle stał się szorstki. - Niech pani zapomni, o czym mówiłem. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Spróbuj mnie zrozumieć.

Alice była trochę zdumiona, trochę zła.

- Jak mam cokolwiek zrozumieć, jeśli niczego mi nie wyjaśniasz? - spytała z pretensją w głosie. Gdy dalej milczał, straciła cierpliwość. - Posłuchaj, to nie ma sensu. Te twoje tajemnicze sformułowania są irytujące i myślę, że wyjaśnienie wszystkiego to sposób na wybrnięcie z kłopotliwej sytuacji.

- Nie! - powiedział tak głośno, że się o krok cofnęła. - Nic nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem?

- Nie potrafię ci teraz tego wyjaśnić. Zapomnij, co powiedziałem, proszę.

Patrzyła, jak się oddalał, po czym wzruszyła ramionami. Z pewnością jest jakaś przyczyna tego dziwnego zachowania, ale jeśli on nie chce jej wyjawić, ona nie może zrobić nic innego, jak istotnie starać się o tym zapomnieć.

Nie było to jednak łatwe. Tej nocy źle spała, wyobraźnia co chwilę podsuwała jej dręczące obrazy. Niepokoiły ją nie tylko pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi, lecz także obawa, że być może zakochała się w człowieku, który uważa ją za atrakcyjną kobietę, lecz ma jakiś poważny powód, by ukryć swe uczucia.

Czy James żywi wobec niej głębsze uczucia? Czy ona niesłusznie ma nadzieję, że pewnego dnia pozna tajemnicę, która go powstrzymuje przed... Właśnie, przed czym? Czy James kiedykolwiek jej zaufa, czy ten jakiś sekret to wymówka, by zażegnać niezręczne sytuacje? To byłoby po prostu wstrętne. Nie mogła znieść tej myśli, jednak musiała przyjąć, że taka możliwość istnieje.

Postanawiając, że będzie się w jego obecności kontrolować, zapadła w końcu w niespokojny sen.

W sobotę rano izba przyjęć była pełna. James wpadł do lecznicy na kilka minut przed objazdem farm. Był w dobrym humorze, żartował z panią Norton, która pomagała córce, i gratulował jej sposobu, w jaki radziła sobie ze zdenerwowanymi pacjentami. W odpowiedzi na jego pochwały pani Norton roześmiała się trochę smętnie i odrzekła:

- Kiedy przyjedzie Carol, nie będę tu już potrzebna.

- Ależ skąd! - zawołał z uśmiechem. - Matka jest jedynym stabilizującym czynnikiem w tym niespokojnym świecie.

Gdy wyszedł, między matką a córką zapadło milczenie, które przerwała pani Norton:

- Coś w nim jest smutnego - orzekła. - Dlaczego na przykład powiedział tak o matce? Przecież jego matka, tak samo jak narzeczona, zginęła w tym okropnym wypadku. A może właśnie o tym myślał?

Alice, która właśnie miała otworzyć drzwi poczekalni, znieruchomiała z ręką na klamce. Kto wie, może tamto zdarzenie w jakiś sposób wpływa na zachowanie Jamesa? W takim jednak razie ona nic nie jest w stanie zdziałać. Przecież wiedziała tylko tyle, ile zdradziła jej jego bratowa, a to, jak utrzymywał James, było bardzo fragmentaryczne.

Zamyślona otworzyła drzwi, obiecując sobie, że przy najbliższej okazji spróbuje się dowiedzieć od Sophie więcej. Może dzięki temu zdoła ujrzeć Jamesa we właściwym świetle?

Tego dnia jakoś tak się złożyło, że wyjątkowo wielu pacjentów nie potrafiło precyzyjnie wyjaśnić, co dolega ich ulubieńcom, toteż Alice przestała w końcu ich słuchać i wystawiała diagnozy wedle własnej wiedzy. Matka, która jej pomagała w badaniach, rozumiała rozterki córki:

- Lekarze na pewno mają łatwiej z rozpoznaniem przypadłości u ludzi. A nasi pacjenci potrafią tylko patrzeć na nas błagalnie, gdy tymczasem ich właściciele często mówią o nic nie znaczących drobiazgach i wprowadzają nas w błąd.

Alice z rezygnacją skinęła głową i poszła umyć ręce, pani Norton zaś zajęła się parzeniem kawy. Gdy tylko usiadły przy stole, zadźwięczał dzwonek w recepcji. W chwilę później do gabinetu weszła Becky.

- Wiem, że się spóźniłam, bo skończyła już pani dyżur, ale potrzebne mi są tabletki na odrobaczenie dla psa. Właśnie tędy przechodziłam i pomyślałam, że wpadnę.

Była to mało przekonująca wymówka, Alice jednak skinęła głową.

- Proszę mi najpierw podać kilka szczegółów. To znaczy wagę psa, i tak dalej.

Becky mówiła, strzelając oczami na wszystkie strony. W końcu spytała jakby od niechcenia:

- Czy James jest tu gdzieś? Chciałabym z nim porozmawiać.

- Wyjechał w teren - odparła Alice krótko, a gdy odliczyła tabletki, dodała: - Czy mam mu coś przekazać?

- Och, nie, dziękuję - odparła szybko Becky, po namyśle jednak dorzuciła: - A może... Pewnie go pani zobaczy wcześniej niż ja. Proszę mu powiedzieć, że się trochę spóźnię. Troszeczkę, najwyżej pół godziny. - Uśmiechnęła się przyjaźnie, lecz w jej chłodnych oczach zabłysła złośliwość. - James zaprosił mnie wieczorem na kolację. Całkiem niespodziewanie, ale on wszystkie decyzje podejmuje nagle. Prawda?

Alice obojętnie wzruszyła ramionami, podała Becky torebkę z tabletkami i poinformowała:

- W środku jest ulotka ze sposobem użycia.

- Dziękuję. O Boże... - Becky przerzucała rzeczy w torebce. - Obawiam się, że nie wzięłam pieniędzy. Dam je Jamesowi, dobrze? - Pożegnała się, lecz w progu ponownie odwróciła. - Muszę się pospieszyć, żeby zdążyć kupić sobie coś ładnego na ten wieczór.

Pani Norton zaśmiała się ironicznie.

- Jeśli nie ma pieniędzy, trudno jej będzie robić zakupy. Alice wzruszyła ramionami.

- Zawsze można zapłacić czekiem.

- To dlaczego tutaj tego nie zrobiła? Och, wiem, co mi powiesz. Nie bierzesz pieniędzy za te tabletki, żeby zachęcić ludzi do regularnego odrobaczania zwierząt, ale... - pani Norton zmieniła temat - coś mi się wydaje, że bardzo jej zależało na tym, żebyś wiedziała o tej kolacji z Jamesem. Jak myślisz, czy coś ich łączy?

Ponieważ Alice zauważyła to samo, trudno jej było zachować obojętność wobec słów matki, rzuciła więc jakąś zdawkową uwagę i na tym poprzestała. Przez resztę dnia koncentrowała się na pracy i dopiero pod koniec popołudniowego dyżuru, gdy wrócił James, przypomniała sobie o wizycie Becky. Kiedy wspomniała mu o tabletkach dla psa, bardzo się zdziwił.

- Nie wiem, po co tu przychodziła. Przecież dostała już je ode mnie. Przepraszam, że nie zapłaciła. Już ci oddaję dług.

Alice uśmiechnęła się i spojrzała na zegarek.

- Nie powinieneś się pospieszyć? Becky mówiła, że idziecie na kolację.

- Jezus Maria, omal nie zapomniałem. W razie potrzeby możesz mnie złapać w hotelu Swan. Tam właśnie chciałem pójść z tobą. Może w następnym tygodniu? Musisz czasem gdzieś wyjść. - Uśmiechnął się szeroko. - Od nadmiaru pracy można zwariować.

- Dzięki, ale obawiam się, że właśnie z powodu nadmiaru pracy nie byłabym najciekawszym towarzystwem. Jestem pewna, że Becky jest znacznie bardziej interesująca.

- Becky? A co ona ma z tym wspólnego?

Zadzwoił telefon i to uratowało Alice od odpowiedzi. Na pożegnanie pomachała Jamesowi ręką i podniosła słuchawkę. Ktoś chciał uzyskać jedynie informacje, ale przedłużyła rozmowę do momentu, gdy zauważyła, że James spojrzał na zegarek i, zdawałoby się niechętnie, wyszedł.

Zatrzęsa się z oburzenia. Za upokarzający uznała pomysł, żeby ją zapraszać na kolację do tej samej restauracji co Becky.

Kiedy się jednak nieco uspokoiła, na jej twarzy pojawił się nieco smętny uśmiech. To jasne, James prowadzi jakąś bardzo wyrafinowaną grę. Nie ucieszyło jej to stwierdzenie, lecz przeczuwała, że powinna mu zaufać, a wtedy pewnego dnia on także zaufa jej. Chyba że Becky... Nie, nie, lepiej o tym nie myśleć.

Później tego dnia zadzwonił Edward. Zgodnie z jej przypuszczeniami oznajmił, że Molly zgodziła się pójść z nimi na kolację, chciałby więc ustalić termin.

- A może jeszcze dzisiaj? - zaproponował.

- Nie, dziś nie mogę - odparła. - James ma wolne, więc powinnam zostać w domu przy telefonie. Mama też wybiera się odwiedzić przyjaciółkę.

Po chwili milczenia spytał:

- A więc będziesz sama?

- Tak. Przełożmy to na następny tydzień, kiedy przyjedzie Carol.

W wyobraźni ujrzała wyraz zawodu na twarzy Edwarda, ku jej zdumieniu jednak szybko przystał na propozycję i pożegnał się. W zadumie patrzyła na słuchawkę. Edward istotnie zmienił obyczaje. Chętnie spędziłaby z nim wieczór poza domem, zwłaszcza że towarzyszyłaby im Molly.

Skończyła przyjmować pacjentów i w końcu zasiadła do kolacji. Cieszyła się z tego, że jest sama i miała nadzieję, że telefon będzie milczeć. Pacjenci jakby odgadli jej życzenia i nie nękali jej wezwaniami, toteż gdy po kolacji usiadła wygodnie w fotelu i wsłuchiwała się w tony swej ulubionej symfonii, nie usłyszała dzwonka. Zareagowała dopiero na natarczywy hałas. Gdy z niechęcią otwierała drzwi, ujrzała uśmiechniętego Edwarda.

- Wyglądasz dziś na wyjątkowo wypoczętą - powiedział i wszedł bezceremonialnie.

Westchnęła w duchu. I już po cudownym wieczorze!

- Dobrze mi było samej. Roześmiał się.

- Miłe powitanie. Przyjechałem, bo po prostu musiałem cię zobaczyć. Pomyślałem też, że skoro jesteś sama, będziemy mogli wreszcie swobodnie porozmawiać.

- Zrobię ci kawę - rzekła chłodno.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym raczej coś ci powiedzieć. - Spojrzał na nią wymownie. - Chyba za długo się znamy, żebyś mnie traktowała tak oficjalnie. Posłuchaj, Alice, chciałbym wreszcie wszystko ci wyjaśnić. Przyznałem się już do tego, że z Peggy to był błąd. Chcę jeszcze raz cię spytać, czy zostaniesz moją żoną?

- O mój Boże! - zawołała i westchnęła ciężko. - Przepraszam cię, ale nie. Musisz się z tym pogodzić. I pamiętaj, że nie mam zamiaru zmieniać zdania.

Twarz Edwarda pociemniała.

- Jakoś nie możesz mi wybaczyć Peggy? Potrząsnęła głową z rozpaczą.

- Nie o to chodzi. Musisz zrozumieć, że kiedy mówię, że cię nie kocham, to znaczy, że cię nie kocham. Wtedy też cię nie kochałem. Jesteś po prostu bardzo sentymentalny i tęsknisz za dawnymi czasami - powiedziała nieco patetycznie.

- Ależ to wcale nie dawne czasy mnie obchodzą, tylko przyszłość! - Edward chwycił się ostatniej deski ratunku. - Ty chyba myślisz, że zakochałaś się w Jamesie. No cóż, powodzenia. Z tego, co wiem, on skacze z kwiatka na kwiatek.

- To nieprawda - zaprotestowała gwałtownie i w tej samej chwili uświadomiła sobie, że nie ma żadnych podstaw, by tak twierdzić. Widząc jego ironiczny uśmiech, zmieniła ton. - No cóż, może i masz rację, aleja chciałam powiedzieć tylko tyle, że w nim jestem zakochana tak samo jak w tobie. A teraz zostawmy ten temat i porozmawiajmy o czymś innym.

- Wobec tego nie mamy o czym rozmawiać - stwierdził ponuro. - Chyba już pójdę.

Wstał, lecz w tej samej chwili zadzwonił telefon, więc usiadł z powrotem. Alice podniosła słuchawkę, słuchała uważnie, po czym poleciła:

- Proszę ją tu natychmiast przywieźć.

Skończyła rozmowę, przez chwilę stała zamyślona, w końcu zwróciła się do Edwarda:

- Muszę zszyć ranę. Suka rozdarła sobie skórę, skacząc przez druciany płot. Ktoś musi mi pomóc.

- A gdzie jest James? - spytał Edward nieswoim głosem.

- Wyszedł - odparła lakonicznie - tak samo jak matka. Trzeba mi pomóc przy zastrzyku znieczulającym; z resztą poradzę sobie sama. Chcę, żebyś potrzymał psa, a ja odszukam żyłę.

Patrzył na nią z wymuszonym uśmiechem.

- Chyba nawet tego nie jestem w stanie zrobić. Ten pies ma ranę, a ja nie znoszę widoku krwi.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Przecież cię nie proszę, żebyś patrzył na ranę! A poza tym nie sądzę, żeby lała się krew.

- Mimo to chyba lepiej wezwij Jamesa - usprawiedliwiał się, rejterując w stronę drzwi. - Przepraszam, ale nie mogę. Mogę go przywieźć, jeśli to ci pomoże.

- Nie zwracaj sobie głowy - rzuciła ze złością. - Właścicielka mi pomoże.

Tymczasem pani Court zareagowała na jej propozycję oburzeniem. Miała mnóstwo spraw, bo wkrótce wyjeżdżała na wakacje. Chciała przyjechać po psa następnego dnia rano, żeby przewieźć go do schroniska. Tam też Alice miała się udać kilka dni później, by zdjąć psu szwy.

Alice słuchała jej i kiwała głową, szukając w udzie małej suczki rany. W końcu spojrzała na właścicielkę pytająco.

- Mówiła pani o strasznym krwotoku, a ja tymczasem widzę tu małe rozdarcie skóry. Wystarczy miejscowe znieczulenie i jeden szew.

- No cóż, ja uznałam to za poważne. Mimo wszystko wolałabym zostawić ją na noc u pani. - Rozejrzała się wokół z wyrazem dezaprobaty. - Nie myślałam, że będzie tu tak pusto. Jest pani pewna, że poradzi pani sobie z Timmy sama? Nie miałam pojęcia, że to taka mała lecznica. Szkoda, że... No, ale już za późno.

Wzruszyła pogardliwie ramionami i wyszła, zostawiając oburzoną Alice.

Podczas zabiegu jej złość powoli przeradzała się w depresję. Gdy czekała, aż znieczulenie zacznie działać, w jej myślach pojawił się Edward. Człowiek, na którym nie można polegać, chciał zostać jej mężem. Czowała się coraz gorzej.

Po raz kolejny potwierdziło się, że nie jest w stanie prowadzić lecznicy sama, zatrudniając jedynie pomoc doraźną. Oczywiście w przyszłym tygodniu przyjedzie Carol, ale prawdzie trzeba spojrzeć w oczy. Tylko może nie w tej chwili, bo teraz trzeba się zająć tym pieskiem.

Znieczulenie zaczęło działać, lecz mała pacjentka była w pełni rozbudzona i wyraźnie zdenerwowana. Jak ją uspokoić? Zaczęła przemawiać do psiaka łagodnym tonem, lecz niewiele to dało.

Stała nad pieskiem z igłą i nicią w ręku, gdy do gabinetu weszła matka. Oceeniła sytuację jednym szybkim spojrzeniem, natychmiast podeszła do stołu i mocno przytrzymała psa. Alice przeprowadziła zabieg i przeniosła zwierzę do pokoju pooperacyjnego.

- Miałaś szczęście - rzekła matka. - Mavis bolała głowa i wcześniej od niej wyszłam. Powiedz mi, dlaczego nie zadzwoniłaś?

Alice zawahała się.

- No cóż, wydawało mi się, że to drobiazg i że Edward mi pomoże, ale...

Z rezygnacją machnęła ręką.

- Był tu? - spytała matka.

- Tak. Och, co za głupia historia. Wpadł na chwilę i właśnie wychodził, kiedy trzeba było zszywać tego psa. Nie pomógł mi nic. Zapomnijmy o tym i zróbmy sobie herbatę, albo nie wiem... Mam pewien problem i chciałabym, żebyś mi pomogła. Jakiś czas temu James wystąpił z propozycją unowocześnienia lecznicy. Właściwie to by nas uratowało, bo jego oferta była bardzo hojna, ale wtedy musiałby zostać współnikiem.

Alice podała matce szczegóły i czekała na jej komentarz. Po długim namyśle matka spytała:

- Dlaczego od razu jej nie przyjąłeś?

- Wiesz, że zależy mi na odbudowaniu praktyki ojca, i że chcę to zrobić sama.

- Tak, wiem, ale wiadomo mi również, że twój ojciec miał zamiar wziąć wspólnika, najpierw ciebie, oczywiście, a potem następnego wspólnika, i w końcu asystenta. Sam mi o tym mówił. Czasy działania w pojedynkę dawno już się skończyły. Albo weźmiesz wspólnika, albo zamykasz interes.

Westchnęła i spojrzała na Alice ze współczuciem.

- Musisz być realistką, moja droga - ciągnęła. - James wystąpił z cudowną propozycją. Powinnaś ją przyjąć.

- Ale to by oznaczało - odparła Alice ze zmarszczonym czołem - że straciłabym nad wszystkim kontrolę. James będzie chciał przeprowadzić wiele zmian.

Pani Norton rozejrzała się po gabinecie.

- No cóż, zmiany są konieczne. Nie da się długo nie zauważać postępu.

- Ale... - mówiła Alice powoli - mnie chodzi o Jamesa. Nie jestem pewna, czy go dobrze rozumiem. Jest jakiś taki... tajemniczy.

- Nonsens! Wydaje mi się, że jeszcze nie doszedł do siebie po tym okropnym wypadku w Australii. Narzeczona i matka... I jakby tego było za mało, ojciec natychmiast się ożenił. Chyba James strasznie to przeżył.

- Ale to nie wszystko, co mnie gnębi - przyznała Alice niechętnie. - Wydaje mi się, a właściwie jestem prawie pewna, że on interesuje się Becky. Może nawet się z nią ożeni, a wtedy będę musiała ją tolerować jako żonę mojego wspólnika. A tego sobie naprawdę nie wyobrażam.

- Becky? Czy to ta, która pracuje u jego brata? Nie lubisz jej? Alice potrząsnęła głową.

- Nie lubimy się wzajemnie. Przy każdym spotkaniu[^] iskrzy między nami.

- Hm... Nie sądzisz, że przesadzasz?

- Nie. A dziś zaprosił ją na kolację. Chyba mu na niej zależy. - Uświadamiając sobie, że matka patrzy na nią sceptycznie, Alice postanowiła zakończyć temat: - No więc powiedz mi, czy mam go spytać o tę ofertę?

- Dlaczego nie? To bardzo dobra propozycja. A poza tym składa ją człowiek, który według mnie jest godzien zaufania, nawet jeśli ty nie jesteś o tym przekonana.

- No cóż... - Alice w zadumie potarła czoło. - Chyba tak zrobię. James będzie tu jeszcze kilka miesięcy, więc może trochę poczekam. Zobaczymy, jak się to wszystko potoczy.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Carol przybyła w niedzielę wczesnym popołudniem. Pani Norton przygotowała na tę okazję uroczysty lunch. Podczas posiłku Carol powiedziała:

- Tak się cieszę, że mogłam przywieźć Sammy'ego. Usłyszawszy swe imię, terrier skierował w jej stronę głowę,

a pani Norton serdecznie go pogłaskała.

- Wiesz, brakuje mi psa. Nasz spaniel umarł tuż po śmierci mojego męża. Po prostu nikt nie był w oczach, mimo że bardzo o niego dbaliśmy. Jak myślisz, Alice - spojrzała na córkę - czy Sam-my zastąpi nam Jasona?

Alice entuzjastycznie skinęła głową i rozmowa skoncentrowała się na sprawach zawodowych. Patrząc z namysłem na Carol, Alice czuła wielką ulgę. Obecność tej rozsądnej, przyjaznej istoty przywróciła jej utracone poczucie bezpieczeństwa. Gdy będą pracowały razem, klienci nabiorą przekonania, że na pracownikach lecznicy zawsze można polegać, a poza tym rady Carol zawsze okazywały się cenne.

- Opowiedz jej o Jamesie - poprosiła nagle matka - a ja zrobię kawę. Już jej mówiłam, że byliśmy w rozpaczliwej sytuacji, a tu nagle on się pojawił.

- Właściwie niewiele jest do opowiadania - zaczęła Alice z wahaniem.

W chwilę potem zdała sobie sprawę, że nie może się Jamesa nachwalić. Dopiero gdy wspomniała o jego hojnej propozycji współpracy i wyraziła swe wątpliwości, dostrzegła na twarzy Carol zdumienie.

Urwała gwałtownie, gdy matka weszła z kawą, Carol zaś po namyśle odezwała się:

- No cóż... Nie znam oczywiście wszystkich szczegółów, ale wydaje mi się, że taka propozycja rozwiązuje wszystkie problemy. Zupełnie nie pojmuję, dlaczego ją odrzuciłaś. - Zwróciła głowę w stronę matki Alice: - A czy pani coś o tym wie?

Pani Norton wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że trudno jej przystać na to, żeby ktoś nieznajomy miał takie same udziały w spółce. - I dodała lojalnie: - Musisz przyznać, że to niełatwa decyzja.

- Mimo wszystko powinnaś... - zaczęła Carol, lecz Alice jej przerwała:

- Na początku będzie pół na pół, a potem on wszystko przejmie, i to w wielkim stylu. Już teraz cały czas mówi: „potrzebujemy tego, potrzebujemy tamtego”, i tak dalej. To wszystko jest bardzo drogie i tych wielkich zmian możemy dokonać tylko za jego pieniądze.

- No tak, ale bez pieniędzy i bez postępu szybko wypadniesz z gry.

Alice ujrzała, że matka kiwa głową i nagle poczuła się osamotniona. Czy one cokolwiek rozumieją? Widzą tylko cele doraźne, a nie dostrzegają aspektu emocjonalnego. Ona po prostu bardzo się boi uwikłać się w coś, czego będzie później ogromnie żałowała. Te myśli musiały się odbić na jej twarzy, bo Carol powiedziała:

- Chyba rozumiem twoją rozterkę, Alice, ale któregoś dnia będziesz zmuszona przyjąć współlnika. Nie możesz liczyć na to, że po Jamesie zjawi się następny współpracownik, a potem następny. Nikt się na to nie zgodzi, póki nie zrozumie, że z twoją firmą może związać swoją przyszłość.

Alice smętnie pokiwała głową. Carol jak zwykle błyskawicznie dotarła do sedna sprawy i Alice, mimo że była wdzięczna przyjaciółce za nieowijanie w bawełnę, czuła się, jakby straciła niepowtarzalną okazję. Spostrzegłszy przygnębienie córki, pani Norton rzekła wesoło:

- Dostyc już, jeszcze jest mnóstwo czasu na podjęcie decyzji. - Spojrzała żywo na Carol. - Ciekawa jestem twojego zdania o Jamesie.

Carol poznała go już następnego dnia rano. Po krótkiej rozmowie było jasne, że zyskał jej aprobatę. Gdy wychodził, pożegnała go serdecznie, lecz z przekazaniem swej opinii Alice czekała aż do końca dyżuru.

Tego dnia było dosyć tłoczno, lecz Alice zdążyła się przekonać, że Carol nie zapomniała swych umiejętności. Ciepłym i stanowczym głosem uspokajała pacjentów, dzięki czemu Alice była w stanie skoncentrować się na stawianiu diagnoz i leczeniu. Po skończeniu przyjęć musiała przyznać, że nie jest nawet w połowie tak zmęczona jak przedtem. Wyznała to nawet przyjaciółce.

- No cóż - odparła Carol. - Myślę, że jeśli przyjmiesz Jamesa, będziesz jeszcze mniej zmęczona. I moim zdaniem, ze świeczką szukać drugiego takiego. Prawdziwych fachowców jest niewielu. Czy odrzuciłaś jego propozycję definitywnie?

- Oboje doszliśmy do takiego samego wniosku. W końcu on sam się wycofał, ale też nie widzę, żeby szukał pracy. Może zresztą ma już jakieś inne plany...

Carol w zamyśleniu piła kawę.

- A co sądzisz o nim jako mężczyźnie? - spytała nagle. - Mężczyźnie, a nie lekarzu - podkreśliła.

Alice z trudem zachowała spokój.

- Nie wiem... Lubię go, ale... - Urwała, gdy ujrzała pytający wzrok Carol, i potrząsnęła głową. - Nie wiem, naprawdę nie wiem. Czasami lubię go aż za bardzo, a czasami mam go serdecznie dość. Obawiam się... - spojrzała na przyjaciółkę bezradnie - że boję się prawdy. Chyba się w nim trochę zakochałam i okropnie mi głupio.

- Dlaczego? Boisz się, że bez wzajemności? A może on kogoś ma?

- Nie wiem, może... Wiesz, jest taka Becky. Chyba mu na niej zależy.

- Jaka Becky? Powiedz mi coś więcej.

Alice wzruszyła ramionami i zaspokoili ciekawość przyjaciółki.

- Nie lubię jej - przyznała w końcu - a ona najwyraźniej mnie nie znosi.

Carol długo ważyła słowa, zanim powiedziała:

-I mimo wszystko ona chce tu pracować, a James namawia cię, żebyś się zgodziła. Więc może się zgodzisz? Niech tu przyjedzie, a ja już wezmę ją w obroty, i przy okazji spróbuję wybadać, jak tam między nimi jest. - Uśmiechnęła się złośliwie. -Kiedy się zorientuje, ile w tej pracy trzeba zrobić paskudnych rzeczy, pewnie jej przestanie zależeć na Jamesie - bo myślę, że tylko z jego powodu udaje, że ją to ciekawi.

Alice patrzyła na nią sceptycznie, zanim jednak zdążyła wypowiedzieć swoje „ale”, zadzwonił telefon. Głos kobiety po drugiej stronie brzmiał histerycznie:

- To trwało kilka sekund! Ciężarówka wyjechała zza rogu, kiedy Judy przechodziła na drugą stronę. Kierowca chyba jej nie widział, bo nawet nie zwolnił. Tak ją uderzył, że wylądowała na poboczu. Przyniosłam ją do domu, ale jest nieprzytomna. Niech pani szybko przyjedzie!

Alice zapisała nazwisko i adres, po czym spojrzała na Carol:

- Chyba ją tu przywiozę, Przygotujesz wszystko? Może trzeba będzie ją operować.

Wzięła torbę lekarską i szybko wyszła.

Kiedy wróciła pół godziny później, Carol powitała ją pytającym spojrzeniem. W odpowiedzi potrząsnęła z rozpaczą głową.

- Skonała tuż przed moim przyjazdem. Próbowałam przywrócić akcję serca, ale na próżno. Za to właścicielka doprowadziła mnie do szału. Judy była podobno wyrzucana z domu na dzień, a wpuszczana tylko na posiłki. Wiesz, w ten sposób mogła się wybiegać, a poza tym nie brudziła domu. Takich ludzi mam ochotę mordować. Mają też ogród, ale taki ładny i przystrzyżony, że i tam jej nie wpuszczali. Właścicielka mi powiedziała, że jej mąż pochowa Judy gdzieś pod parkanem, żeby nie musieli wydawać pieniędzy na normalny pogrzeb. Byłam tak wściekła, że miałam ochotę policzyć jej podwójnie za wizytę.

- A zapłaciła? - spytał z rozbawieniem jakiś głos. Alice odwróciła się i zobaczyła w drzwiach Jamesa.

- Nie! - odparła. - Powiedziała, że nie ma w domu pieniędzy ani czeków.

- Nic więc dziwnego, że się wściekasz - pocieszył ją z szerokim uśmiechem.

- Ale ładnie ci z tym. Wyglądasz jak anioł zemsty.

Carol zachichotała, lecz Alice nagle odzyskała panowanie nad sobą.

- Chyba trochę przesadzam. Przepraszam.

- Nie przepraszaj - zaprotestował. - Dobrze wiedzieć, że masz wrażliwe serce. A już w to powątpiewałem. - Lekceważąc pełne oburzenia parsknięcie Alice, dodał: - A żeby zmienić temat, to powiedz, czy Carol wie o Becky? To znaczy, że chce pracować na pół etatu?

Ależ jest uparty, pomyślała Alice z irytacją, ale nie okazała niezadowolenia, lecz zwróciła się uprzejmie do Carol:

- Mówiłaś, że nie masz nic przeciwko temu, prawda? Carol skinęła głową z serdecznym uśmiechem.

- Może zacząć od wykonywania najmniej przyjemnych rzeczy, więc nie mogę protestować.

James zmarszczył czoło.

- Żartujesz, mam nadzieję. Ona nie marzy o „brudnej robocie”.

- Nie, Carol nie żartuje - oznajmiła Alice chłodno. - Każdy od tego zaczyna. W ten sposób można odróżnić ziarno od plew. Nie powiedziałaś jej? Mogłeś ją do tego przygotować podczas tej proznej kolacji.

- Kolacji? - Jego twarz początkowo wyrażała zdumienie, a potem nagle pojawił się na niej wyraz zrozumienia. - Ależ to było niemożliwe. Mieliśmy rodzinną uroczystość i Sophie zaproponowała, żeby zaprosić Becky. Czy myślisz, że ona była moim gościem?

- Ja nic nie myślę - odparła Alice, starając się ukryć radość. - Po prostu jej uwierzyłam. A ona powiedziała tak: „James zaprosił mnie na kolację”. No dobra, nieważne.

James najwyraźniej nie był tą opowieścią zachwycony, bo na jego twarzy ukazało się napięcie. Alice zaś czuła się dziwnie szczęśliwa. Zapanowała trochę niezręczna cisza, którą przerwała wreszcie Carol, zadając Jamesowi pytania dotyczące Becky. Gdy odpowiedział, oznajmiła:

- Resztą zajmie się Alice.

James skierował się w stronę drzwi i rzekł jakby do siebie:

- Zrobiłem swoje. Mam nadzieję, że Sophie przestanie mi teraz wiercić dziurę w brzuchu.

Carol spojrzała na przyjaciółkę zdumionym wzrokiem.

- To dziwne. Co chciał przez to powiedzieć?

- Nie mam pojęcia. - Alice pokręciła głową. - Mam tylko nadzieję, że nie będziemy żałować tej decyzji. Już teraz ciarki przechodzą mi po grzbiecie.

- Nie martw się. Nie znam jeszcze tej Becky, ale już chyba ją przejrzałam.

Tak jak gdybym ja jej nie przejrzała, pomyślała Alice, głośno jednak rzekła:

- Czyżby?

Carol uśmiechnęła się szeroko.

- Och, daj spokój, Alice. Wiesz przecież, że zagięła parol na Jamesa i chce tu pracować tylko dlatego, żeby wiedzieć, co się dzieje między nim a tobą.

- No to będzie tracić czas.

Przez chwilę rozmawiały na inne tematy, kiedy zadzwonił telefon. Carol podniosła słuchawkę.

- Od tej pory to moje zajęcie - rzuciła z uśmiechem w stronę Alice, po czym przywołała ją gestem. - Bratowa Jamesa. Do ciebie.

Alice wysłuchiwała Sophie i powiedziała:

- Zaraz przyjadę. - Odkładając słuchawkę, spojrzała na Carol. - Sophie znalazła w stodole zbłąkanego psa. Jest w strasznym stanie. Chce się go pozbyć, zanim dzieci wrócą ze szkoły.

W drodze na farmę Alice uświadomiła sobie, że nie jest w stanie przestać myśleć o Becky. Myśl o tym, że ma pracować z kimś, kogo nie lubi, nawet przez krótki czas, była deprymująca. Także irytująca, bo częściowo odbierała jej radość z powodu przybycia Carol. Nie będą mogły z sobą otwarcie rozmawiać i atmosfera stanie się z konieczności napięta.

Westchnęła ciężko i postanowiła chwilowo o tym nie myśleć, zwłaszcza że jej oczom ukazała się farma. Sophie wybiegła z domu i przywitała ją serdecznie. Natychmiast ruszyły do stodoły.

- Schował się tam, gdy mnie zobaczył, i nie potrafię go wywabić. Postawiłam miskę z wodą i z jedzeniem tuż przy drzwiach i zamknęłam je. Ja muszę go stamtąd przegonić. Po szkole dzieci zawsze tu pędzą, żeby szukać jajek, które młode kury składają w sianie.

Zatrzymały się przy drzwiach i Sophie ostrożnie je uchyliła.

- Widzę go. O, miska jest pusta.

Gdy weszły do środka, pies cofnął się z cichym warczeniem. Sophie zaczęła do niego przemawiać łagodnym tonem i o dziwo machnął kilka razy ogonem, po czym zebrał się na odwagę, postąpił kilka kroków do przodu i skulił się u ich stóp. Sophie szybko nałożyła mu na szyję obrozę i mimo że wydał z siebie krótki skowyt, nie próbował uciekać.

- Wycierpiał swoje - stwierdziła Alice. - Popatrz na jego spuchnięte oko. O, a tu ma rany, biedactwo. Chyba poparzenia. Co z nim zrobisz, kiedy go opatrzę?

Sophie spojrzała na zegarek.

- Dzieci tak szybko nie wrócą. Chodźmy do kuchni, żeby go porządnie nakarmić. Niestety, nie mogę go zatrzymać. Trzeba by się nad nim trząść, a ja i tak mam za dużo na głowie. Chyba powinnam zadzwonić na policję i spytać, czy

ktoś go nie szuka. - Namyslała się chwilę. - Jestem pewna, że przybył tu z grupą tak zwanych Wędrowców, którzy rozbili obóz na jednym z pól. Policja usunęła ich jakieś dziesięć dni temu. Zostawili po sobie pobojuwisko i włóczące się wśród śmieci psy.

- Wezmę go do siebie i wyleczę to oko i rany. A prawdę powiedziawszy - Alice spojrziała z żalem na małe stworzonko, drżące teraz ze strachu - ma zadatki ma pięknego psa. Trochę w nim z owczarka.

W kuchni Sophie otworzyła puszkę z jedzeniem dla psów i napełniła miskę. Po chwili wahania pies zaczął jeść, a po minucie miska była pusta. Kiedy skończył, w niczym nie przypominał już tamtego biednego, zaszczutego zwierzątka. Spojrzał na obie kobiety, zamerdał ogonem i nagle zaczął się energicznie drapać.

- O mój Boże! - roześmiała się Sophie. - Całe szczęście, że to nie ja będę musiała walczyć z tymi pchłami. Wypijesz herbatę?

Kilka minut później pies spał już głębokim snem, a Sophie relacjonowała Alice, jak wygląda jej dzień.

- Nie jestem dobrze zorganizowana - wyznała posepnie. - Najpierw robię najważniejsze rzeczy i próbuję ignorować wszystko, co można zrobić choćby kilka chwil później. Pewna kobieta spytała mnie kiedyś, czy nie tęsknię za normalną pracą, i dała mi do zrozumienia, że muszę się tu okropnie nudzić. Kiedy jej powiedziałam, że taka duża farma dostarcza wielu przeżyć, spojrziała na mnie tak pogardliwie, że poczułam się dziwnie.

Alice roześmiała się, wyciągnęła rękę po ciasteczko i dodała zamyślona:

- A teraz masz jeszcze na głowie szwagra.

- Nie, James nie sprawia kłopotów. Mają z Davidem zupełnie inne charaktery, ale znakomicie się rozumieją. Wiesz, James bardzo się zmienił po tamtym wypadku. On wciąż nie chce na ten temat rozmawiać.

James kiedyś oświadczył, że Sophie nie wie wszystkiego. Pamiętając o tym, Alice spytała ostrożnie:

- Co wstrząsnęło nim bardziej? Śmierć matki czy narzeczonej?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Chyba matki. Jego stosunki z narzeczoną były nie najlepsze. Często się kłócili; ona była bardzo wymagająca. On gotów był nosić ją na rękach, ale o niej mówiono różne rzeczy... Biedny James. Nie powinien się tak zamartwiać. David i ja bardzo byśmy chcieli, żeby się ożenił i zapomniał o tamtym. - Nagle jej twarz się rozjaśniła. - Becky ma podobno pracować u ciebie. To już załatwione?

- Nie jestem z tego powodu szczęśliwa, ale Carol, moja pielęgniarka, która właśnie przyjechała, mówi, że się nią zajmie. Jamesowi bardzo na tej pracy zależało.

- To dobrze. - Sophie wyglądała na zadowoloną. - Mam nadzieję, że się między nimi ułoży.

Alice zapragnęła jak najszybciej skończyć tę rozmowę. Spojrzała na śpiącego psa i oznajmiła:

- Muszę wracać. Trzeba go wyczyścić przed zabiegiem. Dziękuję za herbatę.

Mały przybłęda nie chciał opuszczać ciepłej kuchni. W końcu jednak umieściły psa w samochodzie. Na jego mordce malowały się tak wyraźny smutek i rezygnacja, że Alice poczuła wzruszenie.

Zachowywał się równie potulnie podczas zabiegów higienicznych, jak i opatrywania ran. W końcu, cofnąwszy się o krok, by ocenić swe dzieło, Alice powiedziała:

- Poza tą raną nad okiem, wszystko zagoi się w ciągu kilku dni. Myślę, że na policji byliby zadowoleni, gdyby został u nas. Choć bo ja wiem...

Urwała, ponieważ weszła matka, która natychmiast zaczęła głaskać psa. Spoglądając na Carol, która z uśmiechem kiwała głową, Alice zrozumiała, że problem został rozwiązany. Opowiedziała matce nieszczęścia zwierzaka, ta zaś rzekła:

- Właśnie czegoś takiego mi brakowało. Stworzę mu dobre życie.

Alice poczuła dławienie w gardle, gdy psiak wyciągnął pyszczek i polizał swą nową panią. Pani Norton przemawiała do zwierzątka pieszczotliwie, po czym uniosła głowę i oznajmiła z uśmiechem:

- Nazwę go Aniołkiem... którego zesłano mi na ratunek. To wszystko było tak wzruszające, że Alice z trudem powstrzymywała łzy. Carol jednak oświadczyła ze śmiechem:

- Nie przypuszczam, żeby Aniołek został poddany ostrym rygorom, toteż od czasu do czasu nazwie się go inaczej.

- Jestem pewna, że szybko nauczy się dobrych manier - oznajmiła pani Norton, położyła psa na podłodze i ruszyła w stronę drzwi. Ten się zawahał, a gdy nowa pani wezwała go cicho, spojrzął na Alice i na Carol, po czym, usłyszawszy następne wezwanie pani, wstał i szybko znalazł się w jej ramionach.

- Pewnie myślisz, że jestem sentymentalna - powiedziała Alice po chwili milczenia - ale naprawdę się cieszę, że po tylu przeżyciach mama wreszcie będzie mogła zaopiekować się własnym zwierzakiem.

- Rozumiem to - odparła Carol i Alice przypomniała sobie, że przyjaciółka niedawno straciła matkę.

To zrodziło między nimi bliska, więź. Przez chwilę cicho rozmawiały, po czym nagle Carol spojrzała w okno i zawołała:

- Spójrz, pada! Nie będziemy chyba miały wielu pacjentów. Pojawiło się dwóch, i w obu przypadkach trzeba było zrobić

psom zastrzyki. Po skończeniu zabiegów Alice spytała:

- Może już pójdziesz do domu? Ja jeszcze zostanę parę minut. Muszę przygotować lekarstwa dla tego nieszczęsnego Aniołka. Podejrzewam, że nigdy nikt mu nie dawał zastrzyków, toteż pierwsze szczepienia zrobię mu w domu.

Otworzyła lodówkę, wyjęła odpowiednie fiolki i już miała pójść za Carol, kiedy za drzwiami usłyszała hałas i w progu stanął James. Otrząsała zdjętą kurtkę na dworze, wszedł do środka i roześmiał się trochę smutno.

- Co za wieczór! Pomyślałem sobie, że nie masz tu pewnie tłoku, więc wpadłem zobaczyć tego przybłądę. Jeśli nikt go nie poszukuje, to może mógłbym...

Urwał, ponieważ Alice potrząsnęła przecząco głową.

- Tak chyba będzie najlepiej - orzekł, wysłuchawszy całej historii. - Potrzebny mu dobry dom, a twoja matka potrzebuje towarzystwa.

- Jesteś bardzo, spostrzegawczy i oczywiście masz rację. Moja matka nie chodzi po świecie ze smutną miną i nie złorzeczy na los, ale wiem, że brakuje jej ojca. Byli sobie bardzo oddani.

Przed jej oczami stanęły czasy, gdy rodzice byli jeszcze razem. Z zamyślenia wyrwał ją pełen ciepła głos Jamesa:

- Ten pies jest w stanie zrobić dla niej więcej niż nawet ty. Nada jej życiu sens.

Spojrzała na niego innym wzrokiem. Jego współczucie sprawiło, że znów poczuła w oczach łzy. Odwróciła się, lecz James dotknął jej ramienia:

- Co złego powiedziałem? Dlaczego płaczesz?

- Przypomniałam sobie ojca - wyjaśniła, bo w jego głosie wyczuła prawdziwy niepokój. - Muszę się wziąć w garść.

- Nie, nie musisz. Płacz. To ci pomoże.

Przytulił ją i Alice poczuła, że puszczają tamy. W jego ramionach wszystkie stesy i napięcia ostatnich dni zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Szeptał słowa pocieszenia, a ona nie wiadomo dlaczego zawstydzila się swojej słabości. —Próbowała się od niego odsunąć, lecz zaprotestował:

- Nie wstydź się. Chcę ci tylko pomóc. Dawaj, teraz wytrzymaj te łzy.

Wyjął z kieszeni białą chusteczkę i delikatnie osuszył jej policzki. W jego oczach malowała się taka czułość, że zaczęło brakować jej powietrza. Nagle

spojrzał na coś ponad jej ramieniem i w tych samych oczach pojawił się wyraz furii.

-A wy co tu robicie?! - spytał ostro.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Alice odskoczyła od Jamesa i spojrzała ze złością na Becky i Edwarda, którzy stali w otwartych drzwiach. Zaskoczona, nie mogła wydobyć głosu.

- No, no! - odezwał się w końcu Edward. - Ale scena! Chyba nie powinniśmy byli tu przychodzić bez uprzedzenia. Przepraszamy!

Becky przenosiła pełne złości spojrzenie z Alice na Jamesa, zanim powiedziała:

- Powinam się była tego domyślić. Sophie mówiła, że nie pójdzie mi z tobą łatwo, ale widzę, że jej się udało. Jest najwyraźniej lepsza.

Alice wciągnęła gwałtownie powietrze, James jednak powoli włożył chusteczkę do kieszeni i odparł spokojnie:

- Gadasz bzdury. Może teraz jedno z was powie, o co chodzi, a potem się pożegnamy.

- Och, bardzo chętnie. Przyszliśmy wyraźnie nie w porę - oznajmił Edward z sarkazmem. - Chciałem się umówić z Alice na kolację, ale teraz - wzruszył ramionami - to już nie ma sensu.

- Ja przyszłam zobaczyć tego zbłąkanego psa - dodała Becky, patrząc na Jamesa przenikliwym wzrokiem. - Mogłabym go wziąć do siebie. A tymczasem przyłapałam was na gorącym uczynku. No, no, no. - Odwróciła głowę w stronę Alice. - Oczywiście, nie będę tu pracowała. Już rozumiem, dlaczego nie miała pani ochoty mnie przyjąć.

Z dumnie podniesioną głową wyszła z pokoju i Edward ruszył za nią. W progu jednak przystanął i spojrzał na Jamesa:

- Wydaje mi się, że należy mi się jakieś wyjaśnienie. Jak poważne ma pan zamiary wobec Alice?

- Nie mów o mnie tak, jakby mnie tu nie było! - zawołała Alice. James próbował coś powiedzieć, ale nie dopuściła go do głosu. - Nie należy ci się żadne wyjaśnienie! Innymi słowy: pilnuj swojego nosa!

Edwardowi na chwilę odebrało mowę, kiedy jednak odzyskał rezon, rzucił złośliwie w stronę Jamesa:

- Chyba powinienem panu pogratulować. Zna się pan na rzeczy. Rozkrecona praktyka weterynaryjna, a oprócz tego piękna właścicielka. Tylko głupiec nie skorzystałby z szansy.

- A może być tak...

James postąpił krok do przodu, Alice zaś spojrzała na jego pełną zimnej złości twarz i chwyciła wyciągniętą rękę. James odsunął ją, chcąc się uwolnić, dzięki czemu Edward zyskał czas, by opuścić lecznicę.

Mimo że jego drwiący śmiech nadal brzmiał jej w uszach, Alice westchnęła z ulgą. Gdy jednak usłyszała głos Jamesa, napięcie wróciło:

- Przykro mi, że tak namąciłem między tobą a Edwardem. Muszę mu wytłumaczyć, że się pomylił. Uspokój się, wszystko naprawię. On pewnie nie będzie chciał ze mną rozmawiać, więc napiszę list. - Skierował się w stronę biura. - Poczekasz? Chcę, żebyś przeczytała, co napisałem.

Alice była tak oszołomiona, że chemie została sama. Musiała szybko przyjąć jakąś strategię. Na słowa Jamesa zareagowała bólem, co ją przekonało, że się w nim naprawdę zakochała. Nie miała się jednak z czego cieszyć, bo on nie odwzajemniał jej uczuć.

Upokarzająca była też świadomość, że James właśnie teraz wyjaśnia Edwardowi, że mu na niej nie zależy i że on, Edward, może ją dalej adorować. Szybkim krokiem weszła do sąsiedniego pokoju.

- Nie pisz tego listu, James. Zapomnij o wszystkim - dodała, gdy spojrzał na nią zdumiony. - Nie obchodzi mnie, co Edward myśli.

- Ale trochę ryzykujesz, prawda? Nie chcesz go przecież stracić.

- Stracić? Co ty mówisz?! Dlaczego mi nie wierzysz? Wzruszył ramionami.

- No cóż... Wierzę, choć sędzę, że robisz dobrą minę do złej gry. No dobrze, nie mam racji, zgoda. Przestań się złościć. Chociaż ja też bym się wściekł, gdybym zobaczył swoją dziewczynę w objęciach jakiegoś faceta. - Uśmiechnął się. - A ty mu jeszcze powiedziałaś, żeby się nie wtrącał. Właściwie to wszystko jest bardzo zabawne.

- Raczej melodramatyczne - uściśliła, czując, że wargi rozciągają jej się w półuśmiechu.

Nagle oboje parsknęli śmiechem. Alice nie posiadała się z radości. Nawiązała się między nimi nic porozumienia, przyjaźń. Nieważne, że go kocha; to da się ukryć. Najważniejsze, że zyskała przyjaciela. Kiedy więc ochłonęli, powiedziała:

- James, chciałabym wrócić do twojej propozycji. Odrzuciłam ją wtedy, ale zmieniłam zamiar. Może znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie?

Ku jej zdumieniu długo milczał, po czym wolno pokiwał głową:

- Jak chcesz. A co o tym myśli twoja matka?

- To jest mój pomysł. Matka na nic mnie nie namawia.

- Nie zrozumiałaś mnie. Nie chcę zawierać z tobą umowy, której ona nie zaprobuje. Nie można, ot tak, po prostu, przyjąć kogoś obcego na wspólnika dobrze działającej firmy.

- No to może byś z nią porozmawiał?

Uśmiechnął się z zażenowaniem, słysząc w jej głosie sarkazm.

- Przepraszam, chyba okazałem brak taktu? Zachowuję się jak kawaler starej daty, zabiegający o zgodę rodziców na poślubienie panny. Ale wiesz: niektórzy mówią, że spółka to jak małżeństwo. Trzeba bardzo uważać, z kim się podpisuje umowę.

Alice poczuła, że robi jej się gorąco i szybko zmieniła temat.

- A przy okazji: co mam zrobić z Becky?

- Z Becky? - Zaśmiał się krótko. - Nic nie musisz robić. Słuchaj, co ona takiego powiedziała? Że tobie się udało, a jej nie? O co jej, na Boga, chodziło?

Alice odniosła wrażenie, że zamiera w niej serce, odparła jednak spokojnie:

- Nie mam pojęcia. Najlepiej sam ją spytaj.

- Hm... - Popatrzył na nią z namysłem i dodał: - Szkoda, że nie umiem czytać w twoich myślach. Byłoby o wiele łatwiej.

Nie odpowiedziała, lecz gdy szli do domu, by porozmawiać z matką, obiecała sobie, że później zastanowi się nad sensem jego słów. Pertraktacje przebiegły gładko i gdy po wzniesieniu toastu James wyszedł, Alice została z matką, by omówić szczegóły.

Dopiero w sypialni zaczęła się zastanawiać nad jego wypowiedzią. Doszła do kilku wniosków, lecz je odrzuciła i w końcu zrezygnowała z tej myślowej szamotaniny.

Zasypiając czuła, że ogarnia ją ciepło i że James tuli ją do snu swym łagodnym, kojącym głosem. Nawet jeśli dziś wieczorem powodowała nim tylko przyjaźń, będzie mu za tę chwilę wdzięczna.

Następnego dnia po dyżurze, gdy Alice z Carol piły kawę, James przyjechał do lecznicy i przyłączył się do nich. Rozmowa zesłała na zbłąkanego psa.

- Czuje się świetnie i chyba mu dobrze z mamą - mówiła Alice. - Dzięki Bogu, że nikt go nie szuka. Zawsze jest to takie smutne, kiedy przynoszą tu znale-

zionego psa, często z takimi ranami, że trzeba go uśpić. Właścicielowi jest też smutno, kiedy zginie mu ukochane zwierzę.

- Myślałem o tym - odparł James. - Sądzę, że dobrze by było tym zwierzętom dać elektroniczny identyfikator.

- Słyszałam o tym - wtrąciła Carol - ale nie bardzo wiem, jak to działa. A ty? - zwróciła się do Alice.

- To jest taka mała płytką, którą umieszcza się pod skórą zwierzęcia i na której zapisane są jego dane. Jest to sprzężone ze specjalną kartoteką. Gdy do skóry zwierzęcia przyłoży się czujnik, można odczytać zakodowane informacje i zaślakane czy ukradzione psy łatwo wtedy znaleźć. Będziemy musieli się tym zająć.

- Gdy tylko się skomputeryzujemy - oznajmił James tak pewnym siebie głosem, że Carol najpierw wlepiła w niego oczy, a potem pytająco spojrziała na przyjaciółkę.

- Chodź ze mną, Carol! - zawołała nagle pani Norton. - Chcę ci pokazać zdjęcia. - Gdy wyszły, Alice usłyszała słowa matki: - Oni zakładają spółkę i...

Głos matki zamarł w oddali.

- Czy trochę nie przesadzasz? - spytała chłodno. - Przecież nie musimy rzucać się od razu na szczyt techniki?

- Dlaczego nie? Nie chcesz w swojej lecznicy nowoczesnego wyposażenia?

- W swojej? Wytrzymał jej wzrok.

- Przecież cię rozumiem. Boisz się, że przejmę tę lecznicę kompletnie. Mam rację?

- Tak - przyznała po chwili wahania.

Przymknął oczy i zrobił minę, jakby jej potwierdzenie wywołało w nim rozpacz.

- Wobec tego - oświadczył w końcu - wpiszemy do umowy klauzulę, która ci zagwarantuje prawo zawetowania każdej mojej propozycji.

- To absurd! - zaprotestowała. - Wtedy nie będzie to żadna spółka.

Westchnął i zaczął głośno rozważać:

- Myślałem, że wczoraj wieczorem wszystko ustaliliśmy. A może zostałbym młodszym wspólnikiem? Nie, to bez sensu. Na to nie mogę się zgodzić. Albo spółka, albo nic.

Zapadło pełne napięcia milczenie, które przerwał, na szczęście, dzwonek telefonu. Gdy Alice sięgała po słuchawkę, James rzucił chłodno:

- Zastanów się nad tym i szybko daj mi znać. Skinęła głową i podała mu słuchawkę:

- Do ciebie.

Minutę później wziął torbę lekarską i powiedział:

- Jadę do szkoły jazdy Marshalla. Koń im okulał. Cześć. Gdy jego samochód zniknął za zakrętem, Carol weszła do

środka i oznajmiła:

- Mama prosi, żebyś z nią porozmawiała. Jest trochę zdenerwowana. Ja tu wszystkiego dopilnuję.

Pani Norton istotnie nie była w dobrym nastroju i Alice westchnęła z niechęcią, uświadamiając sobie, że czeka ją następna, nieprzyjemna wymiana zdań. Nie sądziła, że dojdzie do tej przykrej rozmowy z Jamesem, ale jeszcze gorsze było wyjaśnianie wszystkiego matce. Dlaczego nie zostawią jej w spokoju? Próbowwała ubrać swą myśl w jakieś taktowne słowa, gdy matka odezwała się;

- Widzę po tobie, że znowu się pokłóciłaś z Jamesem.

Doszłam do wniosku, że nie chcę być wplątana w wasze sprzeczki. Oczywiście współczuję ci, ale współczuję też Jamesowi, lecz podjęcie ostatecznej decyzji należy wyłącznie do ciebie.

Urwała i spojrzała uważnie na córkę.

- I jeszcze jedno. Gdyby twój ojciec otrzymał taką propozycję, którą ty podświadomie usiłujesz odrzucić, nie wypuściłby jej. Jak ci wiadomo, on nie lubił stać w miejscu.

Alice pokręciła głową. Jak to, ona stoi w miejscu? Zabolą ją to oskarżenie, zwłaszcza że pochodziło z ust jej łagodnej, taktownej matki. Nie znajdując odpowiedzi, uśmiechnęła się smętnie i wróciła do gabinetu. Pół godziny później zadzwonił Edward i gdy Carol podała jej słuchawkę ze słowami: - Ty to masz dzisiaj szczęście! - gestem dała jej do zrozumienia, by nie wychodziła.

- Nie pamiętam - zaczął chłodno i dystyngowanie - czy umówiliśmy się na kolację, ale jeśli tak, to w tej sytuacji należy ją odwołać. Najwyraźniej nic nas już nie łączy, a sądząc po tym, co wczoraj z Becky zobaczyliśmy...

- Nie bądź taki melodramatyczny, dobrze? Wyciągnęliście niewłaściwe wnioski, ale to nie ma znaczenia.

- Ale dla mnie to miało znaczenie! - zaprotestował ze złością. - I dla Becky też. Biedna dziewczyna. Powiedziała mi, że James ją zawiódł. Była tak roztrzęsiona, że postanowiłem zaprosić ją na kolację zamiast ciebie.

- To cudownie! - zawołała, tłumiąc wybuch śmiechu. - Uważam, że wpadłeś na świetny pomysł. Będziecie się wzajemnie pocieszać.

Sarknął coś gniewnie i z trzaskiem odłożył słuchawkę, Alice zaś, ujrzawszy okrągłe ze zdumienia oczy Carol, zaczęła jej wszystko tłumaczyć. Pozornie bez troski opowiedziała, jak wczoraj straciła nad sobą panowanie, nie mogła jednak ukryć, w jaki sposób James usiłował ją pocieszyć. Gdy doszła do nieoczekiwanego finału, Carol wybuchnęła śmiechem:

- O mój Boże! Jak w jakimś romantycznym filmie! Wiesz, bohatera i bohaterkę łapią na gorącym...

- Carol, jak śmiesz! - Spojrzała na nią z udanym oburzeniem. - Bohatera i bohaterkę! Też coś! No dobrze, zapomnijmy o tym.

- Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić - odparła Carol niezrażona. - Ale przynajmniej udało nam się pozbyć Becky. Ciekawe, co na to James.

Alice wzruszyła obojętnie ramionami. Nikomu nie wolno poznać jej tajemnicy. Swą miłość do Jamesa schowa głęboko w sercu i nikt się o niczym nie dowie, zwłaszcza że on pragnie jedynie przyjaźni. Nagle za drzwiami zawarczał pies, ktoś otworzył drzwi i wielki owczarek niemiecki wciągnął swą panią do środka.

- Trzeba mu obciąć pazury. - Starsza pani była mocno zdyszana. - Ja poczekam na dworze, będzie spokojniejszy. - Spojrzała niepewnie na dwie młode kobiety. - Dacie sobie z nim radę?

- Proszę się nie martwić - uspokoiła ją Carol. - Mamy sposoby na trudnych pacjentów.

Wzięła od właścicielki smycz i zaprowadziła psa do stołu. Ten, o dziwo, zachowywał się potulnie jak baranek i wkrótce było po wszystkim. Gdy Alice otworzyła drzwi poczekalni, zobaczyła, że właścicielka psa jest zatopiona w rozmowie z jakąś młodą kobietą, która najwyraźniej poznała już wszystkie wady i zalety owczarka niemieckiego. Alice podała starszej kobiecie smycz i rzekła:

- To jest chodząca słodycz. - I w tej samej chwili roześmiała się, ponieważ pies z taką radością rzucił się swej pani na szyję, że ta z trudem utrzymała równowagę.

- Ja już z nim nie mogę wytrzymać - oznajmiła kobieta. - Chyba zmienię go na mniejszego. On ma mnie bronić, a tymczasem to ja potrzebuję obrony.

Alice udzieliła kobiecie kilku rad, na co ta nie zwracała uwagi, a gdy pies z impetem ruszył na dwór, pociągając swą panią za sobą, Carol pokręciła głową sceptycznie i rzekła:

- Niektórzy niczego nie potrafią się nauczyć. Młoda kobieta roześmiała się.
- Pełno jest takich. Zwłaszcza w Australii.

Alice spojrzała na nią z zainteresowaniem. Bardzo ładna, szczupła, opalona. Długie, brązowe włosy.

- Janey Spencer - powiedziała z uśmiechem. - Jestem lekarzem weterynarii i pracuję u pana Prestona w Perth. Szukam jego syna, Jamesa. Podobno tu pracuje.

Alice poczuła nagle niepokój i spłoszonym wzrokiem spojrzała na Carol. Tamta jednak też nie bardzo wiedziała, co począć.

- Tak - wykrztusiła Alice w końcu. - Pracuje tu, ale teraz jest w terenie. Jeśli nie wie, że pani na niego czeka, będzie miał niespodziankę.

- Lubię zaskakiwać - odparła Janey. - Więc co mi pani radzi: jechać i zaskoczyć jego brata - chcę, żeby mnie przenocowali

- czy poczekać tu na Jamesa?

- A może skontaktować się z nim telefonicznie?

- Nie. - Janey zmarszczyła czoło. - Ale on tu wróci?

- Chyba nawet niedługo. Pojechał do szkoły jeździeckiej. - Alice podeszła do okna. - Zobaczymy stąd jego samochód. Proszę poznać Carol, naszą pielęgniarkę.

Wkrótce Alice usłyszała znajomy warkot samochodu.

- Szybko mi poszło - zawołał James, wchodząc do poczekalni. To było tylko... O Boże, Janey! Wprost nie do wiary! - zawołał i serdecznie ją uściskał. - Co cię tu sprowadza? - Zbladł nagle. - Coś z ojcem?

- Nie, nie! Ojciec miewa się dobrze, a ja jestem tu na wakacjach i pomyślałam sobie, że przekażę ci nowinę. Dobrą nowinę.

- Możecie porozmawiać u mnie - zaproponowała Alice, otworzyła drzwi swego biura i gestem zaprosiła ich do środka. Gdy zniknęli, Carol spojrzała na nią:

- Chyba naprawdę go zaskoczyła. A poza tym ciekawe, co to za nowina.

- Mam tylko nadzieję, że nie będzie musiał natychmiast wracać do Australii.

- Alice zasępiła się. - To by oznaczało koniec moich planów.

- Nie będzie tak źle - pocieszała ją Carol. - Poczekajmy tu na nich, może coś nam powiedzą. A tymczasem zacznę robić porządek w magazynku.

Drzwi do biura otworzyły się dwadzieścia minut później. Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Jamesa, by wiedzieć, że przeżył szok. Był blady, poruszał się jak gdyby w transie. Janey była jednak uśmiechnięta, choć na jej policzkach widniały ślady łez.

- Pojedziemy teraz do Davida i Sophie - oznajmiła. - Jeśli James będzie potrzebny, wiecie, gdzie go szukać. Do widzenia.

- Jutro przyjadę wcześniej rano - powiedział James. - Cześć. Gdy wyszli, przyjaciółki popatrzyły na siebie w zamyśleniu.

Pierwsza odezwała się Carol:

- Chyba coś się naprawdę stało. Może jutro się czegoś dowiesz? Powiedział, że przyjedzie wcześniej.

Alice wzruszyła ramionami, lecz było jej smutno. Myśl, że może stracić Jamesa, sprawiała jej ból. Miałyby go już nigdy nie zobaczyć? Poczula, że robi jej się ciemno przed oczami. Jak ja wytrzymam do jutra? - zastanawiała się. Jak mam pracować, skoro nie wiem, co James postanowi?!

Carol spojrzała na jej ściągniętą bólem twarz i pospieszyła z odsieczą:

- Pora na lunch, ale chyba nie chcesz iść do domu, prawda? Powiem twojej mamie, że jesteś zajęta, i przyniosę ci tu kanapkę.

Alice spojrzała na przyjaciółkę z wdzięcznością. Kiedy została sama, postanowiła wziąć się w garść. Nie ma sensu gubić się w domysłach, powtarzała sobie. Trzeba zająć się pracą i przygotować na odparcie najcięższego ciosu.

Po południu w klinice pojawiło się wielu pacjentów i Alice dziękowała za to losowi. Zbadła papuzkę, która przeziębila się w przeciągu, i przepisała jej antybiotyki. Sporo czasu zajęło jej pocieszenie chłopca, który przyszedł do niej ze swą ukochaną fretką, tak schorowaną, że musiała ją uśpić. Potem do gabinetu weszła dwunastoletnia dziewczynka z kaczuszką, która miała paskudną ranę na

grzbiecie. Kiedy czekały, aż zacznie działać znieczulenie, dziewczynka zaczęła się zwierzać ze swoich kłopotów.

Była córką farmera, a kaczątko znalazła opuszczone przez matkę. Całymi dniami poila je i karmiła, a ono stopniowo odzyskiwało siły. Ostatnio nie odstępowało jej na krok.

- Nazwałam go Donald - ciągnęła - a teraz mój ojciec mówi, że muszę go zanieść z powrotem do stawu. Próbowałam to zrobić, ale tamte kaczki go atakują i po chwili wraca do domu i mnie szuka.

W skupieniu obserwowała, jak Alice zakłada na ranę dwa szwy, a po skończonym zabiegu wzięła kaczątko na ręce i przytuliła niczym małe dziecko. Alice patrzyła na nią z uśmiechem.

- Myślę, że powinnaś je przez jakiś czas potrzymać w domu. Musi nabrać siły, żeby walczyć o swoje. Ale teraz ma mieć spokój aż do wyjęcia szwów. Sądzę, że Donald i tak cię opuści, ale nigdy nie zapomni. Będziecie się widywali nad stawem.

Gdy wyszła, Carol rzekła zamyślona:

- Fajna mała. Czasami żałuję... - Urwała, po czym spytała z wahaniem: - Czy podświadomie nie marzysz o dziecku? I oczywiście o mężu - dodała pośpiesznie, śmiejąc się z pułapki, w jaką sama wpadła.

Alice odwróciła głowę, by ukryć łzy, które znów napłynęły jej do oczu. Chciałaby mieć dzieci, lecz pod warunkiem, że ich ojcem byłby James. Westchnęła głęboko i w chwili, gdy pomyślała, że zdołała jakoś ukryć swoje uczucia, poczuła na ramieniu dłoń Carol i usłyszała:

- Przepraszam za to gadanie.

Głos Carol był pełen ciepła i współczucia, toteż Alice postanowiła przestać udawać.

- Ja chyba oszaleję, jeśli on pojedzie do tej Australii - wyznała łamiącym się głosem.

- Posłuchaj. - Carol delikatnie potrząsnęła ją za ramiona. - Chyba nie pojedzie. A jeśli... to nie bez ciebie.

Alice spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Ty chyba już oszalałaś. Co to ma znaczyć?

- To ma znaczyć, że James jest w tobie zakochany, tylko próbuje to ukryć. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że ta wiadomość od Janey pomoże mu podjąć wreszcie decyzję. - Uśmiechnęła się przeproszająco. - Mam taką nadzieję.

Alice poczuła, że nastrój jej się poprawia i jakoś dotrwała do wieczora. Do Jamesa nie było wezwań, toteż wkrótce po skończeniu dyżuru poszła spać. Leżąc w łóżku, rozmyślała o słowach Carol. Nie, to niemożliwe, powtarzała sobie. Co prawda kilka razy powiedział coś takiego, w czym można by się dopatrywać głębszego uczucia, ale gdy ją czasem przelotnie pocałował, zawsze przeproszał i odnosiła wrażenie, że tego żałował.

Obracała się z boku na bok, lecz nie mogła zasnąć. Przekląła swą wyobraźnię, która pracowała w najlepsze, oraz Carol za to, że snuła romantyczne wizje, nie mające żadnego związku z rzeczywistością. Kiedy wreszcie zapadła w sen, był on płytki i niespokojny. Obudziła się rano bardzo zmęczona.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Postanowiła nie okazywać ciekawości, toteż gdy następnego dnia James wszedł do lecznicy po porannym dyżurze, kiedy obie z Carol piły kawę, powitała go na pozór normalnie. Ku jej zdziwieniu on również zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie zdarzyło.

- Miałem telefon jeszcze przed śniadaniem - rzucił od progu. - Trudny poród na farmie Valley. Pan Thompson jest jednym z twoich wiernych, ale zadzwonił do mnie, ponieważ podejrzewał bliźnięta i obawiał się, że to może być dla ciebie za trudne.

- Znowu to samo! - Alice skrzywiła się z niesmakiem. - Na pewno dałabym radę.

- Też tak myślę. Radziłem mu nawet, żeby do ciebie zadzwonił, ale powiedział, że nie chce ci zabierać cennego snu.

- Co za głupie gadanie! - Alice z trzaskiem odstawiła filiżankę. - Dlaczego oni są takimi szowinistami?

- Trudno jest wykorzenić stare przyzwyczajenia. - James roześmiał się i napił sobie kawę. - A poza tym ten farmer ma byka, któremu trzeba zrobić zastrzyk, i ja się zgodziłem, bo uważam, że w tym przypadku...

- No widzisz? Jesteś taki sam! - zawołała rozzalona. - Wiele razy widziałam, jak ojciec postępuje z bykami, nawet tymi największymi. Z zastrzykiem nie ma problemu, pod warunkiem, że ma się stosowną pomoc.

James najwyraźniej czuł się nieswojo.

- Skoro już obiecałem... Ten byk jest przeziębiony i zły. Umówiłem się na dwunastą.

Alice nie odpowiedziała, lecz gdy James wyszedł zadzwonić, zwróciła się do Carol:

- Nie mam dzisiaj zabiegów, więc pojedę na farmę Valley. Powiem Thompsonowi, że Jamesa coś zatrzymało i ja go zastępuję.

- Chyba zwariowałaś! Przecież jeszcze nie leczyłaś żadnego byka, prawda?

- Wszystko trzeba kiedyś zrobić pierwszy raz, a poza tym, jeśli byk jest pod kontrolą, zachowuje się jak każde inne zwierzę.

- Może, ale James będzie miał pretensje.

- Pewnie tak, ale w tej chwili ja tu jestem szefem, a Thompson jest z grupy tak zwanych lojalnych farmerów. - Urwała i popadła w zadumę. - A może się mylę? W końcu to Jamesa wezwał do porodu.

- Musisz się pogodzić z tym, że jeśli w lecznicy jest weterynarz mężczyzna, farmerzy będą zawsze wzywać jego - perswadowała jej Carol. - Przecież chyba właśnie dlatego przyjechałaś Jamesa?

- Tak, ale... - Zawahała się, po czym dodała z żalem: - Pewnie chcę dać Thompsonowi nauczkę za to, że mnie zdradził.

- Nie sądzę, żeby właśnie na tym ci zależało.

- O co ty mnie znowu posądzasz?!

Widząc sceptyczną minę przyjaciółki, Alice wzruszyła ramionami i zamilkła. Potem otworzyła torbę lekarską i sprawdziła, że ma tam odpowiedni antybiotyk i odpowiednio dużą strzykawkę, włożyła kurtkę i na odchodnym rzuciła Carol przez ramię:

- Wiesz, gdzie mnie szukać. Życz mi szczęścia. Carol potrząsnęła z dezaprobatą głową.

- Czasami naprawdę mnie martwisz. Uważaj na siebie.

Gdy farmer zobaczył Alice, ze zdziwieniem spojrzął na zegarek i powiedział:

- Pan Preston będzie dopiero o dwunastej. Jeśli chce pani popatrzeć, musi pani trochę poczekać.

Alice przywołała na twarz uśmiech.

- Nie, przyjechałam zrobić zastrzyk. Pan Preston jest zajęty. Wiem, że umówił się na dwunastą, ale mamy mnóstwo pracy.

- Pani chce zrobić bykowi zastrzyk? Taka drobna istotka? Nie wie pani, że w niego może coś wstąpić? Pani ojciec doskonale sobie z nim radził, ale to był stary wyjadacz.

Mimo irytacji usiłowała zachować uprzejmość.

- Czy mogę go obejrzeć? Nazywa się Angus, prawda?

- O, pamięta pani. - Farmerowi sprawiło to wyraźną! przyjemność. - No dobrze, właśnie do niego szedłem. - Gdy ruszyli w kierunku zabudowań, wyjaśnił: - Nie wiem, jak to się stało. Nie chce jeść, ciężko oddycha i jest wściekły.

- Trzeba mu podać antybiotyk. Dziś zrobimy pierwszy zastrzyk.

Pan Thompson przystanął, bacznie się jej przyjrzał, pokręcił z powątpiewaniem głową, po czym, widząc zdecydowanie na jej twarzy, powiedział wolno:

- No nie wiem... - Odwrócił głowę i krzyknął: - Jim, chodź no tu! Pomożesz nam przy byku.

Oborowy wyszedł na podwórze i przywitał Alice z uśmiechem.

- Idzie pani w ślady ojca? Zaraz wszystko przygotuję. Gdy zbliżali się do boksu Angusa, usłyszeli najpierw głuchy pomruk, po czym zwałiste cielsko z trudem podniosło się na nogi i utkwilo w nich wzrok. Byk miał przekrwione oczy i jego groźne spojrzenie wyrażało bezbrzeżną nienawiść, jaką żywił do człowieka za to, że trzyma go w więzieniu. Alice jednak ujrzała w nim żalosne stworzenie, które z trudem oddycha i wyraźnie się męczy.

Oborowy podszedł do boksu i zręcznie wetknął drąg w pierścień w nosie byka. Potem odwrócił się do Alice i wyjaśnił:

- Tylko w ten sposób można nad tą bestią zapanować. Ale niech pani uważa z tym zastrzykiem. Jak się nie uda za pierwszym razem, drugiego razu nie będzie. Jak go coś napadnie, może nawet rozwalić te drzwi.

Alice skinęła głową i rozejrzała się wokół.

- Wiecie chyba, że nie powinien zostać w tym boksie. Wymaga remontu. W tej ścianie gwizdże wiatr. Możecie znaleźć dla niego jakieś cieplejsze miejsce?

Opalona twarz Jima lekko poczerwieniała, pan Thompson zaś zbył jej zarzut żartem:

- Jakbym słyszał pani ojca. Zwierzęta u niego musiały mieć wszystko.

- Ale to się opłaca, prawda? Angus byłby zapewne zdrowy, gdyby nie dziury w ścianie, a pan nie wydawałby pieniędzy niepotrzebnie.

Urwała widząc, że strzała dotarła do celu. Chcąc ukryć zażenowanie, farmer powtórzył:

- Zupełnie jakbym słyszał pani ojca. No to zobaczymy, czy zastrzyki też robi pani tak jak on. On mówił, że to łatwe. Wystarczy przebić się przez tę grubą skórę, i już.

Alice napełniła olbrzymią strzykawkę i starała się ukryć zdenerwowanie; mężczyźni śledzili jej ruchy uważnym wzrokiem.

- Jim - powiedziała - możesz przyciągnąć go bliżej? Tylko powoli.

Jim pociągnął za kij, a byk, czując ból w nozdrzach, niechętnie podszedł do ogrodzenia. Wtedy Alice pochyliła się, z całej siły wbiła mu igłę w łopatkę i powoli wstrzyknęła lek. Kiedy skończyła, szybko się cofnęła w przewidywaniu gwałtownej reakcji; Angus jednak przyjął swój los z całkowitym spokojem.

- Dobrze! - dobiegł ją znajomy głos. Z wrażenia upuściła strzykawkę, którą James podał jej z szarmanckim uśmiechem. - Nadszedłem w chwili, kiedy kaza-

łaś im poprawić warunki mieszkaniowe temu biedakowi, a potem się ukryłem, żeby nie przeszkadzać. No i przekonał się pan? - spytał, patrząc na farmera.

- Jutro trzeba mu zrobić drugi zastrzyk - powiedziała, ukrywając zadowolenie. - Albo ja przyjadę, albo pan Preston.

- Widzi pan? - ciągnął James. - Mówiłem, że nie jest w tym gorsza od chłopca.

- Widzę, widzę - przyznał tamten, lekko zawstydzony. Potem roześmiał się i dodał: - Opowiem o tym na zebraniu farmerów.

Wymawiając się brakiem czasu, Alice i James nie przyjęli zaproszenia na kawę. Spodziewała się, że James będzie miał do niej pretensje, oh jednak tylko powiedział:

- Trochę się denerwowałem, kiedy robiłaś ten zastrzyk. Gdybyś nie trafiła, Angus mógłby dostać szau. Przepraszam, nie powinienem był w ciebie wątpić.

- Myślałam, że będziesz zły.

- Zły? Na ciebie? - Usta zadrgały mu w kpiącym uśmiechu. - Przecież to ty jesteś tu szefem. A to mi przypomina, że chcę się z tobą umówić na kolację, żeby w spokoju omówić naszą przyszłość. No - uśmiechnął się posepnie - „w spokoju” pod warunkiem, że nie wezwą nas do czegoś naprawdę pilnego. Może pojedziemy gdzieś dalej? W tutejszych lokalach możemy wpaść na Edwarda i Becky. Chyba spodobali się sobie wzajemnie.

James patrzył na nią wyczekująco, a kiedy się roześmiała, zmarszczył czoło.

- Skąd o tym wiesz? - spytała.

- Becky powiedziała Sophie, a Sophie - mnie. Podobno Becky jest w nim już zadurzona. Sophie jest urodzoną swatką i myśli, że tym razem coś z tego wyjdzie. I może wreszcie przestanie się mnie czepiać.

- Biedny James - rzekła z udawanym współczuciem. - Powinna wiedzieć, że taki zatwardziały kawaler jak ty woli skakać z kwiatka na kwiatek. - Kiedy za-

mrugał oczami, zagryzła wargi i szybko dodała: - Przepraszam, nie powinnam była tego mówić. Przecież twoja narzeczona...

- Narzeczona nie ma z tym nic wspólnego. A skakanie z kwiatka na kwiatek to nie moja specjalność. - Kiedy wsiadła do samochodu, spytał: - Może jutro? Umów się jakoś z Carol, a ja przyjadę do ciebie w pół do ósmej. A może zastąpić cię dziś wieczorem? Będziesz miała czas się przygotować.

- Bardzo to miłe z twojej strony - odparła z uśmiechem. - Do zobaczenia.

W drodze powrotnej rozmyślała nad ich ostatnią rozmową, ale nie doszła do żadnego wniosku. James pozostał zagadką. Problem polegał na tym, że gdy się mu zadawało pytania, trzeba było uważać, by nie wejść na niebezpieczny grunt. Nie miał co prawda ochoty rozmawiać o swym życiu osobistym, ale musi jej coś powiedzieć na temat swych planów na przyszłość.

Przez resztę dnia była zajęta papierkową robotą. Gdy Carol weszła do biura z filiżanką kawy, z przerażeniem spojrzała na stos faktur i zamówień.

- Wiesz, powinnaś kupić komputer. Przecież nie można tak dalej.

- Ależ ja nie mam nic przeciwko komputerom - zaprotestowała Alice. - Po prostu brakuje mi teraz pieniędzy.

Carol wzruszyła ramionami.

- Ile to czasu by ci zaoszczędziło! No i jeszcze te identyfikatory. To byłby wielki plus dla lecznicy. Przestań się krzywić! Mówię poważnie.

- Chyba masz rację. A znasz się na komputerze?

- Umiem stukać w klawisze - odparła ze śmiechem. - A jeśli chodzi o ten system identyfikatorów, to szybko...

- Uspokój się! Nie wszystko naraz! - zawołała Alice. - Jutro idę z Jamesem na kolację i porozmawiamy o tym. Ale jeśli mi powie, że wyjeżdża do Australii...

- Nie martw się na zapas. Trzymajmy kciuki - rzekła Carol energicznie i wzięła do ręki puste filiżanki, lecz odstawiła je, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, po czym się odezwała:

- Nie, wyjechał na farmę... Tak, Alice jest. - Podając słuchawkę przyjaciółce, poinformowała: - Bratowa Jamesa.

Sophie była rozgorączkowana.

- Martwi mnie jedna krowa. Możesz przyjechać? James wróci pewnie późno.

Alice szybko spakowała potrzebne rzeczy i zwróciła się do Carol:

- To może trochę potrwać. Poradzisz sobie?

- Oczywiście!

Pogoda ducha, jaką Carol niezmiennie demonstrowała, działała na Alice kojąco. Zadowolona była z powrotu przyjaciółki. Dzięki niej wszystko przebiegało gładko, mimo braku nowoczesnego wyposażenia. A skoro już o tym mowa, to nawet jeśli James wyjedzie, będzie musiała sama sprostać wymaganiom czasów. Zawsze można wziąć pożyczkę.

Poczuła radość, gdy wyobraziła sobie swą lecznicę wyposażoną w najnowsze osiągnięcia techniki, szybko jednak zastąpił ją smutek, gdy uświadomiła sobie, jak puste będzie to wszystko bez Jamesa. Na szczęście dojeżdżała już do domu Sophie i musiała przerwać swe niewesołe rozmyślenia.

Sophie szybko zaprowadziła ją do obory.

- Nasz pracownik ma gripę, a David pojechał do prawnika. Usuwam jej nadmiar mleka, ale to wszystko jest dla mnie takie nowe, że zastanawiam się, czy nie zabieram za dużo. Popatrz, czy ona nie wygląda strasznie? A to biedne cielętko? Ma tylko trzy dni.

Alice szybko przejęła inicjatywę.

- Najpierw trzeba przenieść cielę do innego boksu.

Wspólnymi siłami przenieśli wierzgające zwierzątko do pomieszczenia obok. Gdy Alice badała leżącą nieruchomo krowę, Sophie spytała z lękiem:

- To nie jest choroba wściekłych krów?

- Ależ skąd! To są objawy gorączki wywołanej zastojem mleka. Łatwe do wyleczenia. Czy James odbierał poród?

- Tak. I mówił, że poszło gładko. Musiało się to stać nagle, bo kiedy oglądał ją rano, wszystko było w porządku.

Alice skinęła głową.

- Ta gorączka wywołana jest gwałtownym spadkiem wapnia we krwi i jeśli zostanie zauważona w porę, można ją szybko wyleczyć zastrzykiem boroglukonianu wapnia. Dobrze, że zadzwoniłaś.

Zadowolona z sukcesu, Sophie uważnie obserwowała poczynania Alice. Ta zdjęła wieczko z buteleczki, włożyła do niej rurkę, a na jej końcu umieściła dużą igłę. Trzymając butelkę w lewej ręce na wysokości ramienia, prawą wbiła pod skórę krowy igłę i patrzyła, jak płyn powoli znika.

- To nie potrwa długo - powiedziała i czekała w milczeniu na opróżnienie butelki.

Kilka minut po usunięciu igły krowa się poruszyła i wreszcie podniosła na nogi.

- Jak się cieszę! - zawołała Sophie. - Czy możemy jej teraz przynieść dziecko?

- Nie, dopiero za godzinę. Niech James do niej zajrzy. Wieczorem też.

Na twarzy Sophie odmalowało się zdumienie.

- A czy wieczorem nie idziesz z nim na kolację? - Zawahała się i roześmiała.

- Znowu się pomyliłam? To jutro, tak?

Alice uniosła brwi i powiedziała:

- Jediną osobą w tej okolicy, która potrafi trzymać język za zębami, jest James. Tak, jutro mamy zamiar porozmawiać o przyszłości. Mam nadzieję, że nie wraca do Australii.

- Och, nie! Po tym, co Janey mu powiedziała...

- No dobrze... - Alice usiłowała na próżno przybrać zdawkowy ton. - Nie, właściwie niedobrze. Czy wiesz, co to za wiadomość, czy nie?

- Tak, ale - zaśmiała się niepewnie - chyba nie powinnam ci mówić. James powtarza, że ja zawsze wszystko przekreślam. Niech on ci powie.

- Pewnie będzie milczał jak zaklęty - skonstatowała Alice - ale jeśli to ma coś wspólnego z jego życiem osobistym, nie mam prawa pytać.

Sophie wzruszyła ramionami.

- Nie musisz pytać. On ci powie, więc się nie martw. Alice jednak była teraz jeszcze bardziej zmartwiona niż przedtem. Jeśli James na pewno ma jej coś do przekazania, może to oznaczać tylko jedno.

Była tak przygnębiona, że gdy zobaczyła poczekalnię pełną pacjentów, wręcz się ucieszyła. Przynajmniej nie będzie miała czasu na dramatyczne rozważania. Ostatnim pacjentem był pies z dużą przepukliną. Kiedy skończyła zabieg i założyła szwy, podeszła do kuchenki i nastawiła czajnik. Czekaając na Carol, która układała psa w kojcu, zawołała:

- Pora na kawę!

W tej samej chwili dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi.

Pomyślała, że to pewnie jakiś spóźniony pacjent i zdziwiła się, gdy w poczekalni ujrzała uśmiechniętą twarz Janey.

- Widzę, że przyszedłam w porę. Mogę wejść? - Gdy Alice gestem zaprosiła ją do środka, Janey dodała: - A potem chciałabym z panią porozmawiać.

Gdy weszła Carol, Alice podała kawę, a Janey poczęła raczyć je opowieściami o swej pracy asystentki weterynarza w Australii. Choć nie była zarozumiała, szybko stało się jasne, że jest profesjonalistką i znane jej są najnowsze osiągnięcia techniki: Po skończonej kawie Carol dyskretnie się ulotniła, Janey zaś powiedziała:

- Wygląda pani na zmartwioną, Alice. Co się stało? Alice przywołała na twarz uśmiech.

- Właściwie nic, tyle że nie wyobrażam sobie, o czym chciałaby pani ze mną rozmawiać. Mogę tylko zaryzykować domysł, że chodzi o Jamesa. Pewnie wraca do Australii, a to mi trochę skomplikuje życie.

- Czy pani zawsze widzi wszystko w czarnych barwach? - Janey patrzyła na nią z serdecznym uśmiechem. - Gdyby o to chodziło, nie ja bym pani o tym mówiła. Przyszłam coś pani doradzić. Wiem, że idziecie jutro na kolację... Sophie mi powiedziała. Myśli pani pewnie, że to nie moja sprawa... No więc - ciągnęła po namyśle - przyjechałam tu, żeby mu powiedzieć coś bardzo dla niego ważnego. Słyszała pani o tym wypadku, w którym zginęły jego matka i narzeczona?

Alice przytaknęła.

- Od Sophie, ale kiedy wspomniałam o tym Jamesowi, powiedział, że ona wszystko przekreśliła.

- To prawda, ale okazuje się, że nie tylko ona się myliła. Teraz wszystko już wiadomo i James stał się innym człowiekiem.

Alice patrzyła na nią oszołomiona.

- A co to ma wspólnego ze mną?

Janey spojrzała na nią z wymownym uśmiechem.

- To już James pani wyjaśni. A ja proponuję, żeby go pani wysłuchała. Proszę mu nie mówić, tak jak mnie, że to nie ma nic wspólnego z panią. Bo ma.

- Nic nie rozumiem - przyznała Alice bezradnie - ale posłucham pani rady. Obawiam się jednak, że dobra wiadomość dla niego to dla mnie zła wiadomość. Przepraszam, ale muszę zajrzeć do psa.

- Czy mogę pójść z panią? To zawodowa ciekawość.

W drodze do sali dla rekonwalescentów rozejrzała się po gabinecie i rzuciła jakby od niechcienia:

- Nie jest tu zbyt nowocześnie, prawda? Alice potrząsnęła głową.

- No, może nie ma tu najnowszego wyposażenia, ale - wzruszyła ramionami - od czasu śmierci ojca nie jest mi łatwo.

- Rozumiem.

W głosie Janey brzmiało współczucie, Alice wyczuła jednak ukrytą krytykę i rzekła chłodno:

- Niektóre rzeczy są tak drogie, że ich zakup się nie opłaca, zważywszy, że tu byłyby rzadko używane.

Janey nie komentowała tego, najwyraźniej uznawszy, że powiedziała dosyć, a gdy obejrzały operowanego psa, pożegnała się i wyszła. Alice została sama i czekała, aż pies w pełni odzyska przytomność. Nie miała siły myśleć o Jamesie.

Kiedy następnego dnia rano przekazała psa właścicielowi, a Carol poszła po zakupy, jej nie pozostawało nic innego, jak samotnie wypić kawę. Pomyślała z niepokojem, że musi się jakoś przygotować do rozmowy z Jamesem.

A więc, po pierwsze, powinna spodziewać się najgorszego i nie popadać w histerię, gdy usłyszy, że James ma zamiar wyjechać. Może jedynie liczyć na to, że nie opuści jej przed terminem wygaśnięcia umowy. To naprawdę byłoby okropne: musiałaby od nowa szukać pracownika.

Tak to wyglądało od strony praktycznej, lecz jeszcze straszniejsza była świadomość, że już nigdy nie miałyby go zobaczyć. Gdy w jej wyobraźni pojawiła się niespodziewanie wizja przyszłości bez mężczyzny, którego kochała, po jej twarzy popłynęły łzy.

Nagle otworzyły się drzwi i jak przez mgłę dojrzała Jamesa. Zaczęła gwałtownie wycierać policzki, a on podszedł do niej, objął i pocałował w usta. Przytulila się do niego mocno, a kiedy podniosła głowę i spojrzała na jego twarz, zaдрżała. Nikt tak jeszcze na nią nie patrzył. Uśmiechnął się, puścił ją, odwrócił się i poszedł do pokoju biurowego.

Chwilę później wróciła Carol. Kiedy ujrzała nieco zapłakaną twarz Alice, rzekła bez ogródek:

- Najwyższy czas, żebyś się porządnie wypłakała. Za długo to w sobie dusiłaś. Dobrze, że idziesz na tę kolację. A czym się teraz martwisz? Tym biednym pieskiem, którego musiałyśmy dziś uśpić?

Wdzięczna przyjaciółce za jej dobre chęci, Alice skinęła głową, choć dręczyło ją lekkie poczucie winy. Poczowała się jeszcze gorzej, gdy dodała:

- Tak, w pewien sposób.

- Zaraz ci dam filiżankę mocnej kawy. A jeśli chodzi o wieczór, to postaram się wam nie przeszkadzać. Nie ma nic gorszego, jak wezwanie do pacjenta podczas romantycznej kolacji.

Alice zaczerwieniła się i, spojrzawszy na uchylone drzwi do biura, spytała:

- Romantycznej? Kto tak powiedział? Przecież mamy rozmawiać o zawodowej przyszłości.

Carol wzruszyła ramionami i roześmiała się, a James wyszedł z pokoju biurowego i zawołał:

- Kawa! Słyszałem właśnie to magiczne słowo. A co do tego psa, to takie rzeczy zawsze są smutne. Przecież robimy to dlatego, żeby oszczędzić cierpień. - Ze smutkiem pokiwał głową. - Jeśli ktoś kocha zwierzęta, nigdy się z tym nie pogodzi.

Kiedy Carol podała kawę, James spytał:

- A może chcesz wolne popołudnie, Alice? - Zwrócił się do Carol. - Nie mam teraz wizyt, więc zastaniesz mnie u brata. I oczywiście przyjdę na wieczorny dyżur. Dobrze, Alice?

Była mu wdzięczna za tę propozycję. Odpoczynek przed kolacją pomoże jej odzyskać siły i dzięki temu będzie w stanie znieść najgorszy cios.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wyglądała przepięknie i James to docenił. Włożyła przylegającą do figury suknię z dużym dekoltem i rozpuściła włosy.

On również sprawiał wrażenie innego człowieka. Gestem zaprosił ją do samochodu i przez całą drogę traktował ją jak figurkę z porcelany. Dla niej było to zupełnie nowe doświadczenie i początkowo jego kurtuazja wprawiała ją w zachwyt, lecz gdy spytał po raz trzeci z kolei, czy jest jej wygodnie, wybuchnęła śmiechem.

- Na litość boską, James, nie zrobiono mnie z porcelany. Przecież wiesz, że jestem całkiem silna.

Spojrzał na nią rozbawiony.

- Jesteś, owszem, całkiem całkiem, ale nie silna. A dziś wyglądasz jak senne marzenie.

Zaczerwieniła się i nie odpowiedziała, lecz przez całą drogę spoglądała na niego z zaciekawieniem. Naprawdę coś się w nim zmieniło. Nie sprawiał już wrażenia człowieka zamyślnego i skrytego. Co więcej, uśmiechał się z zadowoleniem, tak jakby ktoś zdjął mu z barków wielki ciężar. Uznała to za niepokojące i z trudem powstrzymywała się od zadawania pytań. James stanął wreszcie na parkingu przy niewielkim, uroczym hoteliku i zaprowadził ją do restauracji.

- David polecił mi to miejsce. Był tu kilka dni temu z Sophie i Janey.

Alice podniosła na niego oczy, coraz bardziej zaniepokojona.

- Janey mnie intryguje - powiedziała. - Odnoszę wrażenie, że przyjechała tu spełnić jakąś misję. Czy przywiozła ci dobre wieści? Pytam tylko dlatego, że dzisiaj jesteś jakiś inny.

- No cóż... - uśmiechnął się do niej - może to i prawda, bo zawróciłaś mi w głowie swoim wyglądem. A co do Janey, to tak, w pewnym sensie przyjechała tu z misją. Przywiozła mi dobre wieści, tylko nie wiem, jak zacząć.

Patrzył na nią w zadumie, a w niej narastał lęk. Żeby się uspokoić, zaczęła mu się uważnie przyglądać. Miał doskonale skrojony garnitur, który dodawał mu dystynkcji. Kiedy opuścił wzrok na kieliszek z winem, poczuła ochotę, by dotknąć jego skroni. Nagle podniósł głowę i usłyszała jego głos:

- Ta wiadomość jest prywatna, a do niej dołączona została propozycja. Propozycja wyszła od mojego ojca i gdybym zdecydował się ją przyjąć, moje życie zmieniłoby się radykalnie.

Wziął do ręki widelec i nóż i zaczął jeść z taką miną, jak gdyby wyluszczył jej już całą historię. Alice siedziała jak na rozżarzonych węglach.

- To wszystko, co chcesz mi powiedzieć? - spytała i natychmiast zagryzła wargi, ponieważ obrzucił ją tak dziwnym spojrzeniem, że poczuła się jak uczennica przywoływana do porządku przez nauczyciela. - Przepraszam - dodała i wzruszyła ramionami. - To pewnie nie moja sprawa. Ale cieszę się, że wiadomość była dobra.

- Ależ nie, to jest też twoja sprawa. Posłuchaj. - Pochylił się ku niej nad stołkiem i gdy napotkała jego wzrok, przeszył ją dreszcz strachu. - Mój ojciec ma zamiar sprzedać praktykę w Perth. Jego nowa żona - wykrzywił ironicznie usta - nie chce mieć zapracowanego męża. Ona chce zwiedzić świat, a on jest pod jej urokiem i twierdzi, że chce podróżować razem z nią. Jemu nie brakuje pieniędzy, a ona też ma jakiś majątek. Ojciec nie musi sprzedawać lecznicy, żeby pojeździć po świecie, ale jeśli to zrobi, będą mieli więcej pieniędzy, niż im potrzeba.

Zamyślił się znowu, wbił wzrok w talerz i wyglądał, jakby coś głęboko rozważał, po czym gwałtownie podniósł głowę i dodał:

- Ojciec daje mi prawo pierwokupu.

- Pierwokupu czego? - spytała, jakby nie rozumiejąc.

- No, lecnicy - odparł zniecierpliwionym tonem. - Jeśli się na to nie zdecyduję, kupią ją Janey i jej kolega. Ona o tym marzy, ale się nie spodziewa, że dam jej szansę.

Alice drżącą ręką sięgnęła po kieliszek. Z wrażenia wyschło jej w ustach i nie mogła wydobyć z siebie głosu. W końcu upiła łyk wina i powiedziała:

- Cóż, życzę ci powodzenia. No i - odetchnęła głęboko - żegnaj.

- Sądzisz, że przyjmę propozycję ojca?

Zbladł i spochmumiał, a ona przywołała na twarz sztuczny uśmiech.

- To chyba oczywiste. Wszystko tam masz gotowe. Kiedy wyjeżdżasz?

Zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Alice, przecież ja tobie złożyłem propozycję. Nie pamiętasz? Chciałem zostać twoim wspólnikiem, a ty nagle jesteś pewna, że chcę wyjechać! Odnoszę wrażenie, że wszystko ci jedno. Zapomniałaś, że ja pochodzę z Anglii i że moja oferta jest nadal aktualna. - Zasepił się nieco i dodał: - Jest jeszcze jeden powód, dla którego wolałbym zostać, ale chyba nie pora o tym mówić.

Siedziała nieruchomo, zapomniawszy o stygnącym daniu na talerzu. James znowu zachowuje się tajemniczo, pomyślała. Chciałaby, żeby został, ale przecież nie może mu tego powiedzieć, dopóki nie dowie się więcej.

- A ten drugi powód - zaczęła nieśmiało - jest osobisty, jak wspomniałeś?

Powoli skinął głową i znowu się zamyślił, a ona po raz nie wiadomo który odniosła wrażenie, że jest wścibska. Jej smutek zamienił się w niechęć i właściwie z ulgą powitała dzwonek telefonu Jamesa.

- A niech to! - Przyłożył do ucha słuchawkę. - Carol? Tak.

- Przez chwilę słuchał w milczeniu, po czym podał telefon Alice.

- To do ciebie - wyjaśnił. - Chyba trzeba zrobić cesarskie cięcie.

Alice wysłuchała przyjaciółki i oddając telefon Jamesowi, powiedziała:

- Biedna Carol. Zrobiła, co mogła, ale tę sukę rzeczywiście uratuje tylko cesarskie.

Wrócili w milczeniu. Alice osaczyły posępne myśli, tak posępne, że gdy James zaproponował przeprowadzenie operacji, by nie ubrudziła się jej piękna suknia, sarknęła:

- Fartuch ją przykryje. - Ujrzawszy jego zdziwioną twarz, poczuła wyrzuty sumienia. - Przepraszam - dodała. - Jestem trochę zdenerwowana. Chcę, żebyś mi pomógł. - Popatrzyła na Carol. - A ty zrobiłaś, co mogłaś, i należy ci się odpoczynek. Miałaś ciężki dzień, więc wracaj do siebie. Poradzimy sobie.

Carol z wdzięcznością pokiwała głową i wskazała notatnik.

- Tu jest numer telefonu, pod który trzeba zadzwonić, kiedy skończycie operację. Właściciele są bardzo zdenerwowani. Nie musicie sprzątać, ja to jutro zrobię. Wszystko jest wysterylizowane. Cześć.

- Ta dziewczyna to prawdziwy skarb - oświadczył James, włożył kombinezon i delikatnie ułożył suczkę na stole operacyjnym. - Dobry Boże! - powiedział. - Nie wygląda najlepiej. Chyba się męczy już od rana.

Alice pokiwała głową, uważnie oglądając sukę. Miała w półprzymknięte powieki, jej wzdęte ciało było bezwładne i niemal pozbawione życia; wyglądała, jakby straciła ochotę do walki.

- Sprawdź rozwarcie - powiedziała Alice. Suka chyba coś poczuła, bo otworzyła oczy i cichutko jęknęła. - No tak, wszystko na próżno. Szczeniak jest chyba martwy. - Spojrzała na Jamesa, który zajął się aparaturą do usypiania. - To ryzyko operować ją w stanie wyczerpania, ale jeśli tego nie zrobimy, umrze na pewno.

Operację zaczęli w milczeniu. Pierwszy szczeniak - bardzo duży - okazał się martwy.

- Jest jeszcze jeden, a może i dwa - oznajmiła Alice. - I chyba żyją.

Pół godziny później nadal nieprzytomna suka została umieszczona w ciepłej klatce, a jej dwa szczeniaczki - w klatce obok. Alice posłuchała uważnie oddechu matki i powiedziała:

- Dam jej coś na serce.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła Jamesa z gotową strzykawką w ręce. I w tej samej chwili całym jej jestestwem zawładnęła miłość. To cudowne, pomyślała. On jest ze mną i mi we wszystkim pomaga. To mężczyzna godny miłości i zaufania.

- Nie można jej jeszcze zostawić - usłyszała jego łagodny głos. - Posiedzę przy niej, jeśli się zgodzisz. Wyglądasz na zmęczoną.

- A może napijemy się herbaty? - spytała. - Nastawię czajnik.

Uśmiechnął się i przyniósł z gabinetu dwa krzesła. Gdy weszła z dwiema parującymi filiżankami i siadali na tych krzesłach obok klatek, James zaczął się cicho śmiać.

- Trochę to dziwne zakończenie „romantycznego wieczoru”, żeby zacytować Carol. Tak, tak - przyznał - wszystko słyszałem. Również to, co ty powiedziałaś. A ponieważ nasz wspólny wieczór został przerwany, nie miałem okazji przekonać się, które z tych twierdzeń jest prawdziwe.

Urwał i spojrzał na nią takim wzrokiem, że westchnęła niespokojnie. W końcu utkwiała oczy w klatce ze szczeniętami, udając, że pochłania to całą jej uwagę.

- Uspokój się - szepnął. - Nie mam zamiaru wykorzystywać sytuacji.

Nagle Alice poczuła, że słabnie ze zmęczenia, tak że niebezpiecznie przechyliła się na jedną stronę krzesła, i gdy James podtrzymał ją, spojrzała na niego spod na wpół przymkniętych powiek i wyznała:

- Jestem wyczerpana. Chyba skorzystam z twojej propozycji. Zostaniesz z nimi?

Skinał głową i spojrzał na nią tak ciepło, że nie miała wątpliwości, że jeśli zostanie tu jeszcze chwilę, znajdzie się w jego ramionach. Z udaną więc obojętnością oznajmiła:

- Myślę, że nie musisz tu siedzieć dłużej niż godzinę. Wstał i wyciągnął w jej kierunku rękę.

- Dobrze, ale najpierw odprowadzę cię do domu. Chodź. W domu zamieniła kilka słów z matką i po dziesięciu minutach już spała.

Rano w gabinecie znalazła kartkę od Jamesa: „Wyszedłem o drugiej w nocy. Suka obudziła się, szczenięta w porządku”. Upewniwszy się, że psom nic nie dolega, rozpoczęła przyjmowanie pacjentów.

Kiedy po skończonym dyżurze Carol parzyła kawę, przyjechał James. Jak na człowieka, który spędził pół nocy na czuwaniu, wyglądał zdumiewająco dobrze. Był też w dobrym humorze. Alice uśmiechnęła się do niego i powiedziała:

- Suka i szczeniaki pojechały do domu. Właściciele są bardzo zadowoleni i obiecali stosować się do wszystkich zaleceń.

Carol postawiła na stole kubki z kawą i westchnęła smętnie.

- Jest to, oczywiście, powód do radości, ale ja naprawdę nie chciałam psuć wam wieczoru. - Spojrzała na Alice. - Masz tak mało wolnego. Może następnym razem będziecie mieli więcej szczęścia.

Po twarzy Alice przemknął cień. Ten następny raz to na pewno będzie kolacja pożegnalna, pomyślała i poczuła taki ból w sercu, że prędko podniosła kubek do ust, by ukryć smutek i uciec przed pytającym spojrzeniem Jamesa.

- Więcej szczęścia? - powtórzył. - Mam nadzieję, że masz rację. A skoro mowa o szczęściu, będę go potrzebował przy następnym zabiegu. Jadę wykastrować ogiera. Należało to zrobić dawno temu, ale Bensonowi jakoś zeszło i teraz koń jest bardzo niebezpieczny. Benson podawał mu siano do boksu i potknął się. Ogier tak się przestraszył, że ugryzł go w ramię. Reakcja typowo nerwowa,

ale - wzruszył ramionami - nie mamy wyboru. Widzę, Alice, że chciałabyś pojechać - dodał - ale Benson nie będzie chyba zadowolony. On jest bardzo staroświecki i nie życzyłby sobie, żeby kobieta choćby patrzyła na taki zabieg. - Roześmiał się. - Prawdę powiedziawszy, mnie się to wszystko też nie podoba, więc może i ja jestem staroświecki.

Alice najeżyła się i prychnęła pogardliwie:

- Mężczyźni są naprawdę bardzo wrażliwi! To ja kastruję koty i psy, Carol sprząta cały ten obrzydliwy bałagan, a nie wolno mi nawet towarzyszyć przy zabiegu kastrowania ogiera!

James uśmiechnął się krótko.

- Chyba masz rację - przyznał. - Pracuję z dwiema kobietami i zaczynam rozumieć wasz punkt widzenia. Mimo wszystko nie potrafię zlekceważyć skrupułów Bensona. Jest on jednym z tych „delikatniejszych” farmerów, co tak bardzo rozśmieszyło twoją matkę. - Wstał. - Jadę więc do tego ogiera, potem do farmy Willow zrobić kilka zastrzyków świniom, a potem obejrzeć cielaki z rozstrojem żołądka. Do zobaczenia po południu.

- Umieram z ciekawości - wyznała Carol po jego wyjściu.

- Sporo czasu byliście razem, zanim do was zadzwoniłam. Powiedział coś o swoich planach?

Po chwili namysłu Alice odparła:

- Trochę mi mówił o tym, z czym przyjechała Janey. Właściwie to wszystko mną wstrząsnęło. Posłuchaj...

Gdy skończyła, Carol miała niepewną minę.

- To rzeczywiście spadło na niego jak grom z jasnego nieba. I mówisz, że się jeszcze nie zdecydował?

- Nie. To podobno zależy jeszcze od czegoś, i o tym ma mi dopiero powiedzieć.

- Pewnie... - Carol urwała i zbierała myśli. - Ty pewnie będziesz miała złamane serce, jeśli on postanowi przyjąć propozycję ojca? Przepraszam, nie powinnam zadawać takich pytań

- uznała, widząc zbladła nagle twarz przyjaciółki.

Powstrzymując napływające do oczu łzy, Alice poszła do biura i starała się uspokoić. Nie powinna się tak zdradzać przy byle okazji. Jeśli dojdzie do najgorszego, powinna przyjąć tę wiadomość spokojnie i ukryć żal, tak jak wtedy, kiedy Edward ogłosił swe zaręczyny.

Oczywiście, teraz sytuacja jest zupełnie inna. To niedorzeczne: porównywać młodzieńcze zadurzenie z miłością - prawdziwą miłością, kiedy napełniała ją bólem nawet myśl o tym, że nigdy nie zostanie odwzajemniona.

Gdy z gabinetu dobiegły ją odgłosy rozmowy, wstała z westchnieniem, by sprawdzić, co się dzieje.

- Gołąb w ciężkim stanie - oznajmiła Carol na jej widok.

- Nie sądzę, żeby miał... - Urwała i spojrzała na małego chłopca, który nie spuszczał z niej wzroku. - Lepiej zobacz sama.

- Zwróciła się do chłopca: - Ta pani jest lekarzem i najlepiej wie, co robić.

Ptak leżał nieruchomo w tekturowym pudełku. Alice wystarczyła pobieżne badanie i w chwili, gdy miała zamiar powiedzieć chłopcu prawdę, ten odezwał się:

- Uratuje go pani, prawda? Znalazłem go i chcę sobie zostawić. Nigdy nie miałem swojego zwierzątka, pani rozumie?

Alice spojrzała na niego ze współczuciem i potrzęsnęła powoli głową.

- Strasznie mi przykro, ale właśnie umarł. Ku jej rozpaczy chłopiec zalał się łzami,

- To niemożliwe! Przecież żył, kiedy go znalazłem.

- Tak - przyznała - ale był ranny, poważnie ranny, a kiedy go znalazłeś, umierał. Wiesz co? Dzięki tobie umierało mu się lepiej, niż gdyby miał leżeć

gdzieś samotnie na dworze. Wymościeś mu pudełko trawą, a on wtedy spokojnie zasnął.

Chłopiec po chwili uspokoił się i wyszedł, ściskając w rękę tabliczkę czekolady. Kobiety uśmiechnęły się do siebie.

- Obie jesteśmy przewrażliwione - orzekła Carol. - To pewnie przez ten instynkt macierzyński.

Urwała, ponieważ w drzwiach pojawił się James.

- No i spokój - oświadczył od progu. - Benson zmienił zdanie i chce sprzedać tego ogiera do stadniny, więc szybko uwiąłem się z prosiakami i cielętami i przyjechałem zabrać cię na lunch. - Ujrzawszy wahanie Alice, dodał szybko: - Tym razem nie szukaj pretekstu. Wiesz, że musimy porozmawiać.

Była gotowa przystać na jego propozycję, gdy Carol wtrąciła:

- Ma przyjść pan Sanders, żeby ci pokazać, jak radzi sobie jego trzynogi labrador. Zapomniałaś?

- O Boże! Tak, rzeczywiście. Przepraszam, James, ale sam widzisz.

- Trudno. - Wzruszył bezradnie ramionami. - Ale nie szkodzi. Co się odwlecze, to nie uciecze. Ja też chciałbym jednak zobaczyć, jak radzi sobie nasz przyjaciel, więc zostanę.

Pół godziny później pan Sanders wszedł do poczekalni, a za nim, kuśtykając, pojawiła się Bess. Machała radośnie ogonem i obwąchiwała wszystkich po kolei, z wdzięcznością przyjmując okrzyki podziwu i poklepywania po łbie. Właściciel spoglądał na nią z dumą.

- Widzicie? Sierść już odrasta i przestaje jej przeszkadzać to kuśtykanie. Naprawdę jest coraz lepiej. Zabieram ją na coraz dłuższe spacerunki.

- Myślę, że niedługo będzie w stanie biec koło wózka pana żony.

- Chyba rzeczywiście niedługo. Wczoraj na przykład próbowała przegonić kota, który wszedł do naszego ogrodu. Oczywiście natychmiast upadła, ale jakoś

jej to nie zraziło. Pomachała mi tylko ogonem, jakby chciała powiedzieć, że następnym razem przepędzi nieproszonych gości.

Było to bardzo miłe spotkanie i gdy pan Sanders wreszcie opuścił lecznicę, James spojrział na zegarek i stwierdził:

- Za późno na lunch. Chyba pojedę zobaczyć, co w krótkim czasie potrafi zdziałać moja bratowa. A wy co zrobicie?

- Zjemy kanapki i wypijemy kawę - odparła Alice ze śmiechem. - Możesz się do nas przyłączyć.

Potrząsnął głową i pokazał zęby w uśmiechu.

- To nie dla mnie. Jestem naprawdę głodny. Do zobaczenia. Gdy zasiadły do swego skromnego lunchu, Carol zadumała się i rzekła:

- Coś mi się wydaje, że los jest przeciwko wam. Nie macie czasu spotkać się i porozmawiać. Jak to zrobić, żeby nikt wam nie przeszkadzał?

- Nie wiem - odparła Alice z niechęcią. - To rzeczywiście jest dość bezna-
dziejne, ale może James coś wymyśli. Właściwie to wszystko od niego zależy, prawda?

- Tak... - Twarz Carol nagle pojaśniała. - Tak, James na pewno coś wymyśli!

Podczas popołudniowego dyżuru nie zdarzyło się nic szczególnego i Alice wkrótce po kolacji poszła do sypialni, chcąc odespać poprzednią noc. Zasnęła niemal w tej samej chwili, w której przyłożyła głowę do poduszki, wkrótce jednak zbudził ją niespokojny głos matki.

- Alice! Alice! Nie mogę znaleźć psa!

- Co? - spytała zmęczonym głosem i spojrzała na budzik.

- Wpół do dwunastej. Co się stało?

Matka podeszła do okna wychodzącego na ogród.

- Wypuściłam ją jak zwykle wieczorem i nie wróciła. Szukałam jej po całym ogrodzie i okazało się, że brama jest otwarta. Jestem pewna, że wcześniej ją za-

mykałam, ale jeśli nawet czasem była otwarta, ona nigdy nie wychodziła na ulicę.

Alice wyskoczyła z łóżka i stanęła obok matki przy oknie. W ogrodzie, oświetlonym blaskiem księżycy, panowała niczym niezmacona cisza.

- Co zrobimy? - spytała matka ze łzami w oczach. Alice ubrała się pośpiesznie i powiedziała:

- Wezmę samochód i jej poszukam. Nie mogła uciec daleko. Ty zostań lepiej w domu, bo może wróci.

Uliczka o tej porze była zupełnie pusta. Alice jechała w żółtym tempie, oświetlając reflektorami różne miejsca i modląc się w duchu, by nie zobaczyć na poboczu małego, białego ciała. Po półgodzinie zrezygnowała i zawróciła. Matka siedziała w kuchni w towarzystwie Carol.

- Usłyszałam jakieś zamieszanie i wstałam - oznajmiła Carol. - No i co? Nie znalazłaś?

Alice potrząsnęła głową.

- Zrobię herbatę. - Carol wzięła czajnik i napełniła go wodą.

- Był telefon do ciebie, ale przełączyłam go do Jamesa. On potem zadzwonił i powiedział, że tamten przypadek może poczekać do rana, ale przyjedzie tutaj, żeby nam pomóc. Słuchaj...

Urwała, bo za oknem rozległ się warkot nadjeżdżającego samochodu.

Alice wyszła na dwór i powitała Jamesa z wdzięcznością. Kiedy mu powiedziała o skutkach swych poszukiwań, oznajmił:

- Pojadę na policję i wrócę inną drogą. - Gestem wskazał dom. - Twoja matka jest w rozpacz. Czy Carol da sobie z nią radę? Jeśli tak, to pojedź ze mną. Pies ciebie zna lepiej niż mnie i zareaguje na twój głos.

Alice zamieniła kilka słów z Carol, po czym wsiadła do samochodu Jamesa i uważnie przyjrzała się bramie.

- James, czy nie sądzisz, że pies mógł zostać skradziony?

- To możliwe - wzruszył ramionami - ale mało prawdopodobne. To nie jest rasowa, cenna suka. A poza tym, kto by się odważył wejść do ogrodu przy księżycu w pełni i ukraść psa? Psy przecież szczekają. Czy matka coś słyszała?

- Nic takiego nie mówiła, ale jestem pewna, że gdyby tak było, od razu pobiegłaby do ogrodu.

Przez resztę drogi milczeli. Na posterunku oficer dyżurny spisał wszystkie dane i obiecał zadzwonić, jeśli ktoś odprowadzi psa. Wracali inną drogą, lecz z tym samym skutkiem. Zmęczeni i zmartwieni weszli do kuchni i zastali Carol samą.

- Namówiłam matkę, żeby poszła do łóżka - wyjaśniła. - Dałam jej coś na uspokojenie i obiecałam obudzić, jeśli przyjedziecie z psem. Może usiądziecie na chwilę i wypijecie herbatę?

James potrząsnął głową.

- Ja dziękuję. Wstanę jutro wcześniej i popytam. Na wszelki wypadek zostawcie otwartą bramę.

W nocy Alice kilkakrotnie wstawała, wychodziła do ogrodu i wołała psa, lecz bez rezultatu. Następnego dnia rano Carol wywiesiła wielkie ogłoszenie w poczekalni, a potem obie napisały kilka innych, by rozwiesić je w widocznych miejscach.

James wpadł na chwilę i poinformował, że mniej ważne sprawy przełożył na następny dzień, musi jednak zaraz pojechać na farmę Walkera zająć się wzdętą krową. Gdy wyszedł, Alice powiedziała:

- Dobrze, że nie ma wielu pacjentów. Nie czuję się dzisiaj najlepiej.

Na szczęście wszystkie przypadki były proste i mogła opowiedzieć właścicielom zwierząt o zniknięciu Aniołka matki. Wszyscy obiecali pomóc w poszukiwaniach. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim pacjentem, Alice oznajmiła:

- Pójdę do mamy na kawę. Zadzwoni do mnie w razie czego. Matka sprawiała wrażenie zamyślanej i w odpowiedzi na pytanie Alice rzekła:

- Tak się zastanawiam... Wiesz, wczoraj poszłam z nią po zakupy. Chwilę stałyśmy przed pocztą, bo spotkałam starą znajomą ojca, panią White, i rozmawiałyśmy. Bardzo jej się piesek podobał i powiedziała, że ma szczęście, że znalazł się w rodzinie weterynarza.

- A czy ktoś mógł was słyszeć?

- Nie przypominam sobie. - Pani Norton pokręciła głową. - Ale poczekaj... Tak, przy skrzynce na listy stał jakiś człowiek. Był dosyć młody i taki obszarpany, wiesz, długie włosy, podarta kurtka, naszyjniki. Ale nie patrzył na nas. Kiedy się rozstałyśmy, chyba wszedł na pocztę.

- Hm... - Alice wzruszyła ramionami. - Zaraz, co powiedziałaś? Że według pani White pies ma szczęście, bo trafił do weterynarza? Czy ten człowiek mógł to słyszeć?

- Możliwe. Pani White jest trochę głucha i trzeba do niej głośno mówić. Jeszcze jedno! Pytała mnie, czy trudno było nauczyć psa załatwiania się poza domem, a ja jej powiedziałam między innymi, że wieczorem wypuszczam go na kwadrans do ogrodu i to wystarcza do rana. Alice... - W oczach matki malowała się rozpacz. - Czy myślisz, że ten człowiek ją ukradł?

- Zadzwońmy na pocztę do pani Sadlers i spytajmy, czy pamięta kogoś takiego.

Pani Sadlers nie posiadała się ze szczęścia, że może udzielić ważnych informacji.

- Tak - paplała radośnie - pamiętam go! Nawet chciałam zawołać mamę, ale szybko mi zniknęła. Ten człowiek przyszedł na pocztę i spytał, czy znam adres miejscowego weterynarza. Nie miałam czasu mu tłumaczyć, gdzie mieszkanie, więc podałam mu nazwisko i książkę telefoniczną. A dlaczego pani pyta?

Kiedy usłyszała odpowiedź, jęknęła:

- Taki śliczny piesek! Jaka szkoda! A może jednak znowu gdzieś się zgubiła? Popytam klientów.

Alice w zamyśleniu odłożyła słuchawkę, zamieniła kilka słów z matką i poszła do lecznicy. Miała właśnie opowiedzieć Carol o swych podejrzeniach, kiedy wszedł James.

- Już wszystko zrobiłem - oznajmił. - Teraz jestem do twojej dyspozycji.

- Wiesz - zaczęła - mama przypomniała sobie o czymś, co nie wróży dobrze. Ktoś mógł ją ukraść.

James wysłuchał całej historii z zasepioną miną. Kiedy skończyła, pokiwał głową. Potem wszyscy siedzieli przez jakiś czas w milczeniu, gdy nagle James się ożywił.

- Już wiem! - zawołał. - Wszystko się zgadza. Posłuchajcie. Kiedy zajęty byłam leczeniem tej krowy, Walker zaczął narzekać. Nie zwracałem na to uwagi, bo on zawsze gdera, ale teraz przypomniałem sobie, na co narzekał. Podobno jakichś ludzie znowu rozbili obóz na jego polu, tuż obok tego, z którego zostali wyrzuceni. Pamiętacie, jak podejrzewaliśmy, że pies mógł uciec z ich obozu? A teraz twoja matka opowiada, że jej rozmowę ze znajomą podsłuchał jakiś obszarpaniec, który potem na pocztce sprawdził wasz adres. Wszystko pasuje. Wieczorem przyszedł tutaj i poczekał, aż matka wypuści psa, po czym wśliznął się do ogrodu i porwał go. Myślę, że suka nie zdążyła nawet szczeknąć, bo pewnie zarzucił na nią worek. A poza tym na pewno się go bala; pamiętacie, jak była traktowana? - Urwał, a po chwili namysłu oświadczył: - To nie jest nawet kradzież. Ten pies do niego należy. Mimo wszystko pojedę do tego obozu i zobaczę, co można zrobić.

- Jadę z tobą - oznajmiła Alice. - Nie patrz tak na mnie. Przecież muszę.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - odparł ponuro. - Tam nie jest przyjemnie. No tak, widzę, że tym razem nie darujesz. Trudno, chodź.

Wejście do obozu było zablokowane przez olbrzymią ciężarówkę, toteż James zostawił samochód na polnej drodze. Kiedy Alice wysiadła, powiedział:

- Masz rację, chyba będziesz bezpieczniejsza ze mną niż sama w samochodzie.

- Nie sędzę, żeby oni byli groźni. Widzisz tego faceta? - spytała, gdy wąskim przejściem wśliznęli się na teren obozu. - To chyba jego mama widziała.

Mężczyzna zauważył ich, szybko się zbliżył i podejrzliwie spytał:

- Czego chcecie? James uśmiechnął się.

- No cóż, nie przyszliśmy się do was przyłączyć, ale szukamy małego, białego pieska. Nie ma go od wczoraj i podejrzewamy, że został ukradziony.

- Ukradziony? Też coś! - Mężczyzna wybuchnął nieprzyjemnym śmiechem.

- To nie ja go ukradłem, ale wy. Ten pies jest mój.

Alice jęknęła przestraszona, James jednak zachował zimną krew.

- W takim razie muszę złożyć doniesienie o złym traktowaniu. Kiedy go znaleźliśmy, był w bardzo złym stanie. Miał ślady po przypalaniu papierosem, siniaki po kopaniu. Możecie mieć poważne kłopoty.

Mężczyzna stracił rezon.

- Nie macie dowodów. Teraz pies wygląda dobrze.

- Oczywiście. Wyleczyliśmy ją. - Głos Jamesa nagle złagodniał. - Wiem, że to pana pies, ale chciałbym go kupić. Co pan na to?

Zapanowała chwila milczenia, po czym mężczyzna pogardliwie wykrzywił usta.

- Chcecie kupić Flo? Tego kundla? - Wzruszył ramionami. - Ale to będzie kosztowało.

- Ile? - spytał James i wyciągnął portfel.

- Uważaj, James - rzekła półgłosem Alice i zbliżyła się do niego, jakby w obawie, że i portfel zostanie ukradziony.

- Pani myśli, że jesteśmy złodziejami? Otóż nie - oznajmił mężczyzna i spojrzął na Jamesa. - Sto funtów, w gotówce.

- Dobrze. - James odliczył pieniądze, lecz przytrzymał je w dłoni. - Ale najpierw chcemy zobaczyć psa.

Mężczyzna ruszył w kierunku starej, zniszczonej przyczepy. Za nią, przywiązana krótką linką do koła, leżała skulona Flo. Wyglądała rozpaczliwie. Kiedy Alice zawołała jej imię, suka ożyła. Zaczęła histerycznie szczekać i skakać, mimo że napięta linka groziła uduszeniem.

- Zamknij się, Flo - rozkazał mężczyzna i ukląkł, by odwiązać sukę. - Zamknij się, bo...

- O nie, tego pan nie robi. - James odebrał mu psa. - Teraz jest nasza i radziłbym o tym pamiętać. - Ułożył zwierzątko w wyciągniętych ramionach Alice, a mężczyźnie wręczył pieniądze, po czym rozejrzał się wokół. - Macie tu sporo psów, jak widzę. I na dodatek w podłym stanie. Myślę, że odpowiednie władze...

- A idź pan do diabła! - warknął mężczyzna i zniknął.

Gdy wsiedli do samochodu, James zapalił silnik, a Alice próbowała uspokoić psa. Ten jednak oszalał z radości, Alice zaś, kręcąc głową w obawie, że ulubieniec matki zaliże ją na śmierć, zawołała:

- Aniołku, jeśli nie przestaniesz, zacznę wołać na ciebie Flo!

James wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie takie złe imię - powiedział. - Przynajmniej nie takie pretensjonalne jak Aniołek. - Rozejrzał się wokół i zaproponował: - A może poprowadzisz? Ja się nią zajmę.

- Nie, nie - zaprotestowała. - Już się uspokaja. A jeśli chodzi o pieniądze, oddam ci, kiedy wrócimy.

- Nie - oświadczył. - Nie oddasz mi żadnych pieniędzy i nie powiesz o niczym matce. Ona ma wiedzieć, że po prostu doszliśmy do porozumienia. Twoja matka jest dla mnie bardzo dobra i chcę coś dla niej zrobić. Zgoda?

Alice kiwnęła głową, lecz serce jej się ścisnęło. Odniosła wrażenie, że James chce im zrobić pożegnalny prezent.

- Znowu jesteś bardzo tajemniczy - powiedziała. - Nie lubię tego.

Zacisnął ręce na kierownicy i odparł szorstko:

- Wiesz, jesteś okrutna. Musisz zrozumieć, że nie jestem tajemniczy, ale długo musiałem ukrywać swoje uczucia. Chcę ci wszystko wyjaśnić, tylko nie mogę znaleźć okazji. A może, kiedy oddamy psa matce, pojedziemy gdzieś na lunch?

- Dobrze - powiedziała, czując, że ożywa w niej nadzieja.

- To świetnie. Ale najpierw jedźmy do twojej mamy.

Było to bardzo wzruszające spotkanie i kiedy Alice ujrzała radość matki, jej oczy zaszyły łzami. Pani Norton była tak szczęśliwa, że nie domagała się szczegółowej relacji całej historii. W końcu oprzytomniała i zawyrokowała, że psa na pewno głodzono. Kiedy zaczęła przygotowywać mu jedzenie, James oznajmił:

- My jedziemy na lunch do pubu. Musimy porozmawiać. Do zobaczenia.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

James zaczął mówić od razu, gdy tylko zajęli miejsca w zacisznym kąciuku sali i kelner przyjął zamówienie. Początkowo były to jednak same ogólniki i Alice straciła cierpliwość.

- James - jęknęła. - Nie męcz mnie dłużej. Mówiłeś, że chcesz powiedzieć mi coś bardzo osobistego. No więc mów, masz wreszcie okazję.

- Tak, wiem, ale... - Niepewnym gestem przygładził włosy. - Jestem trochę zdenerwowany i nie wiem, od czego zacząć.

- Ty jesteś zdenerwowany? Nie wierzę.

- Jest kilka rzeczy... - powiedział i znowu zamilkł. Wreszcie odetchnął głęboko i zebrał się na odwagę. - Może zacznę od tego, co mnie gnębiło od dłuższego czasu. Miałem wyrzuty sumienia z powodu tego wypadku, w którym zginęły moja matka i narzeczona.

Cały czas myślałem, że nie powinienem był wtedy pozwolić Amandzie odwozić matki na lotnisko. Amanda była wściekła, bo strasznie się pokłóciliśmy. Wcześniej tego dnia dowiedziałem się, że spotyka się z innym mężczyzną, na dodatek moim dawnym przyjacielem, i zanim wyszła z domu, powiedziałem jej o tym.

Oczywiście wszystkiego się wyparła, ale miałem dowód. Dygotała ze złości, rzuciła we mnie pierścieniem zaręczynowym i rozhisteryzowana wybiegła z domu. Byłem tak zły, że wyszedłem na drinka. Nie pomyślałem, że w takim stanie nie wolno jej prowadzić samochodu.

Wiesz, że miała wypadek, i to straszny, a ja nabrałem przekonania, że kobiety nie mogą mi ufać. Że nie jestem dla nich dobry. Amanda oczywiście zdradziła mnie, ale ja ją zabiłem, dlatego że wybrałem zły moment na ostateczną rozmowę. Czy mnie rozumiesz? Czy nie czułabyś się tak samo?

- Tak - odparła z namysłem. - Chyba tak. Mów dalej. Popatrzył na nią z wdzięcznością i ciągnął:

- Ale teraz kamień spadł mi z serca. Jak wiesz, Janey przywiozła list, w którym ojciec proponuje mi przejęcie praktyki, ale także wyjaśnia pewne rzeczy dotyczące tamtego wydarzenia. On był jedynym człowiekiem, który wiedział, jak strasznie przeżyłem ten wypadek. Właściwie też uważał mnie za winnego i raz nawet powiedział, że nie chce mnie widzieć na oczy.

Na jego twarzy pojawił się grymas cierpienia, jak gdyby na nowo przeżywał tragiczne wydarzenia tamtych dni. Potem wyprostował się i twarz mu się rozproszczała.

- Ten mężczyzna, z którym Amanda romansowała, przyjechał kiedyś do mojego ojca z ciężko rannym psem. Ojciec cudem zdołał go uratować. Ten człowiek był mu tak wdzięczny, że porównał wypadek, jakiemu uległ jego pies, z tragicznym wypadkiem w naszej rodzinie. I ku zdumieniu mojego ojca dodał, że to on ponosi winę za oba. Wyjaśnił ojcu, że Amanda w drodze na lotnisko wpadła na chwilę do niego i powiedziała, że zerwała ze mną. A on wtedy poinformował ją, że jej nie kocha i że romans jest skończony.

Amanda wtedy naprawdę dostała szału. Kłótnię ze mną najwyraźniej udawała, bo do niego przyjechała zachwycona. On chciał ją uspokoić i dał jej drinka, ale wybiegła z jego mieszkania jak furia, krzycząc, że się zabije. Ale czy spowodowała ten wypadek celowo, czy też rozbiła samochód z powodu stanu emocjonalnego - tego się nigdy nie dowiemy.

James zamilkł i ujął wyciągniętą ku niemu rękę Alice.

- Twoja biedna matka - rzekła ze smutkiem - była poniekąd ofiarą. Pewnie to bolało cię najbardziej.

- To prawda - przyznał. - Bo moja miłość do Amandy zniknęła w chwili, kiedy dowiedziałem się, że mnie oszukiwała.

Alice delikatnie wyswobodziła rękę, czując, jak ogarnia ją smutek. Chciała go objąć i cieszyć się razem z nim z tego, że zdjęto z niego ciężar domniemanej winy, ale przecież James umówił się z nią na pożegnalne spotkanie.

- A więc przyjmujesz propozycję ojca i wracasz do Australii - wykrztusiła w końcu.

Było to bardziej stwierdzenie faktu niż pytanie i ręka Jamesa, którą właśnie podnosił kieliszek do ust, zawisła w powietrzu.

- Czy twoim zdaniem to właśnie powinienem zrobić? - spytał z niedowierzaniem.

- Ja... Po prostu wydaje mi się to oczywiste.

- A chcesz, żebym jechał?

- Co za pytanie! - powiedziała z wysiłkiem. - Oczywiście, że nie, ale to przecież nie lada okazja przejąć już gotową praktykę. A tutaj... W zamian za pieniądze, które włożysz w moją lecznicę, zostaniesz tylko współnikiem.

- Tu nie chodzi o pieniądze - oznajmił lakonicznie. - Czy jeśli wyjadę, będziesz za mną tęsknić?

Alice odniosła wrażenie, że się przesłyszała.

- Tak - wykrztusiła i zaczerpnęła powietrza. - Tak - powtórzyła. - A potem, nie chcąc zdradzić swych uczuć, dodała: -Trudno by mi było znaleźć kogoś na twoje miejsce.

Atmosfera w jednej sekundzie stała się chłodna. Alice pojęła, jaki wydźwięk mają jej pozornie obojętne słowa i gorączkowo próbowała zatuszować ich sens. Było jednak za późno. James złożył sztucce na talerzu, dopił wino i rzekł obojętnie:

- Janey chce wracać za dwa tygodnie i do tego czasu mam ją zawiadomić o swojej decyzji. Nawet jeśli postanowię jechać, nie zostawię cię własnemu losowi i przeproszę te sześć miesięcy. - Przez chwilę zastanawiał się, po czym dodał: - Nie wiem, czy zrozumiesz, jeśli ci powiem, że wszystko zależy od ciebie.

Nagle wszystko stało się zbyt trudne, wręcz zawile. Alice ze złością potrząsnęła głową i powiedziała:

- Nie wiem, o czym mówisz. Naprawdę wolałabym, żebyś nie był taki tajemniczy. Przecież to wszystko nie ma nic wspólnego ze mną. Sam musisz podjąć decyzję. A teraz - wstała - muszę iść do lecznicy. Dziękuję za lunch.

Podczas popołudniowego dyżuru trudno jej było zachować pogodny nastrój. Na ogół była wyrozumiała wobec swych klientów

- gdy okazywało się, że albo nie dbali wystarczająco o swych podopiecznych, albo tak się nad nimi trzęśli, że wyrządzali im krzywdę

- dziś jednak czuła, że lada chwila może stracić cierpliwość.

Na szczęście Cara! przywoływała ją do porządku spojrzeniem i dzięki temu nie reagowała ostro na wyraźnie głupie pytania. W końcu odzyskała panowanie nad sobą. Gdy zamknęły się drzwi za ostatnim klientem, Carol nie wytrzymała:

- Albo jesteś zakochana, albo na krawędzi wyczerpania nerwowego. Myślę, że chyba to pierwsze.

- A ja myślę, że powinnam wziąć trochę urlopu - odparła Alice wymijająco i, unikając pełnego współczucia wzroku przyjaciółki, dodała z posępnym uśmiechem: - A ponieważ to nie jest możliwe, powinno mi wystarczyć wcześniejsze chodzenie spać, przynajmniej przez kilka dni.

- A może byś to omówiła z Jamesem? - spytała Carol pozornie obojętnie. - On miewa dobre pomysły.

Gdy Carol wyszła, Alice poczęła zastanawiać się nad słowami przyjaciółki. A więc jest taka zdenerwowana dlatego, że zakochała się w Jamesie? Skoro lu-

dzie to widzą, trzeba coś z tym zrobić. Powinna się pilnować, robić dobrą minę do złej gry i wręcz udawać, że nie przejmuje się ewentualnym wyjazdem Jamesa.

Tak zrobiła kilka lat temu, gdy opuścił ją Edward - na pewno zdoła ukryć swe uczucia jeszcze raz. Czy to jednak będzie możliwe? Z Jamesem to zupełnie inna historia. Skrzywiła usta, wiedząc, że nie ma wyjścia i że musi podjąć ostatnią próbę. Tymczasem pora zamknąć gabinet i zjeść kolację.

Na dworze padał deszcz. Podejrzewając, że za chwilę zerwie się ulewa, ruszyła biegiem w stronę domu. Nagle omiotły ją światła nadjeżdżającego samochodu, pośliznęła się i upadła, uderzając się boleśnie o kamienną ścieżkę. Usiłowała natychmiast wstać, zawirowało jej jednak w głowie i musiała odczekać kilka sekund przed podjęciem następnej próby.

Niespodziewanie usłyszała głos Jamesa:

- Już idę! Poczekaj.

Niemal w tej samej chwili stanął przy niej.

- Nic mi się nie stało. Jestem tylko trochę oszołomiona. Delikatnie pomógł jej wstać i przytulił ją do siebie.

- Chyba nic nie zламаłam - powiedziała, gdy odzyskała siły. - Może tylko nadwreżyłam nadgarstek.

- Wejdźmy do środka - poprosił. - Nie idź, zaniosę cię. Zanim zdążyła zaprotestować, podniósł ją i znowu przytulił.

Przez chwilę czuła się jak w niebie. W domu położył ją na kanapie w salonie i powiedział z uśmiechem:

- A teraz pokaż mi ten nadgarstek. - Badał ostrożnie rękę, a gdy w pewnym momencie niespodziewanie się skrzywiła, oznajmił: - Obawiam się, że to złamanie. Musimy ją nastawić i założyć gips.

- Co?! Przecież to prawa ręka! I jak ja będę pracować? - Urwała, bo drzwi się otworzyły i do pokoju weszła matka. Alice ze łzami w oczach zawołała: - Mamo, i co ja teraz zrobię? Złamałam kość w prawej ręce.

Wymieniły z matką pełne bólu spojrzenia, po czym James oświadczył spokojnie:

- Musisz się otrząsnąć. Wypij filiżankę gorącej herbaty z cukrem, a potem... - Ponownie obejrzał rękę. - Wiesz, że sam mógłbym ją złożyć, ale chyba się nie odważę. Kiedy poczujesz się trochę lepiej, zawiozę cię do szpitala.

Dopiero kilka godzin później, gdy ręka została unieruchomiona gipsem od ramienia do końca palców, Alice uświadomiła sobie ogrom swojego nieszczęścia. Kręcąc głową, spojrzała na temblak i zwróciła się do Jamesa:

- No cóż, powinnam ci podziękować za pomoc, ale... Mój Boże, sześć tygodni bezczynności! Przecież nie jestem w stanie nawet zbadać zwierzęcia!

- To prawda - pokiwał ze współczuciem głową - ale nie martw się. Już o tym pomyślałem. Wiesz przecież, że Janey jest wykwalifikowanym lekarzem weterynarii i może cię zastąpić. Sądzę, że zrobi to bardzo chętnie.

- Przecież mówiłeś mi, że za dwa tygodnie chce wrócić do Australii.

- Będziemy się tym martwić za dwa tygodnie, zgoda? A co do ciebie... Możesz przecież uczestniczyć w przyjęciach pacjentów. Janey nie będzie miała nic przeciwko temu, to dobra dziewczyna. Możesz też jeździć ze mną na farmy; bardzo będę z tego zadowolony - zakończył z uśmiechem.

Była jego propozycją naprawdę wzruszona.

- No tak, mogłam się tego spodziewać - odparła. - Pojawiłeś się tutaj tak, jakby Bóg wysłuchał naszych modlitw, a teraz - spojrzała na niego ciepło - znowu nas ratujesz. Nie potrafię wyrazić, co czuję.

- Ja też. - Popatrzył na nią przeciągle, a potem zwrócił się do pani Norton, która sprzątała ze stołu po późnej kolacji. - Czy nie sądzi pani, że Alice powinna pójść spać?

Pani Norton pokiwała głową.

- Zaraz tego dopilnuję. - Roześmiała się krótko. - Właściwie myślę, że ten wypadek to zrządzenie losu, bo jej naprawdę potrzebny jest odpoczynek. Dzięki Bogu, że pan i Janey tu jesteście.

W sypialni Alice stwierdziła, że wszystkie codzienne czynności są znacznie bardziej skomplikowane, niż sądziła. Rozbieranie się było trudne, a ubieranie niewątpliwie będzie jeszcze bardziej skomplikowane. Nie do wiary, w jakim stopniu takie niewinne złamanie może zmienić życie.

Po dosyć wyczerpującej nocy zaczęła szukać sposobów na radzenie sobie z trudnościami, a nawet zastanawiała się, czy nie byłaby w stanie przyjmować pacjentów. Matka szybko jednak wybiła jej ten pomysł z głowy.

- Naprawdę musisz pogodzić się z tym, że na razie do niczego się nie nadajesz. Popatrz - wskazała za okno - idzie Janey. Chyba James już z nią rozmawiał. Musisz jej wytłumaczyć, jakie tu są obyczaje.

Janey z radością przyjęła propozycję wypicia kawy, potem uraczyła Alice kilkoma słowami współczucia, w końcu jednak bez ogródek oświadczyła;

- No cóż, dla pani to pech, ale ja mogę mówić o szczęściu. Marzyłam o tym, żeby popracować w lecznicy angielskiej, więc proszę się o nic nie martwić. Ja i Carol będziemy tkwiły na posterunku do czasu, aż zdejmą pani gips, a James będzie uszczęśliwiał farmerów.

Alice spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Ale przecież za dwa tygodnie ma pani wracać do Australii?

- Nie mogę pani zawieść. Zostanę tak długo, jak będzie trzeba. - Błysnęła zębami w uśmiechu. - Proszę się tak nie dziwić. Ten interes ojca Jamesa może poczekać. Rozmawiałam o tym z Jamesem i oboje doszliśmy do wniosku, że starszy pan musi po prostu uzbroić się w cierpliwość.

Alice poczuła, jak spływa na nią błogi spokój. Od tej pory przestała martwić się swą złamaną ręką i zajmowała jedynie mniej istotnymi szczegółami, podczas gdy Janey przejęła wszystkie ważne sprawy. Janey od czasu do czasu zwracała

się do niej z prośbą o poradę, zwłaszcza w trudniejszych przypadkach, szybko jednak stało się jasne, że chore zwierzęta można pozostawić spokojnie w rękach jej i Carol.

Pod koniec tygodnia James spytał, czy nie pojechałaby z nim na wizytę.

- Muszę obejrzeć krowę pana Parkera - wyjaśnił. - Nie reaguje na zwykle stosowane antybiotyki, więc zacząłem podawać jej nowy lek. Chyba działa. Parker początkowo kręcił na to paskudztwo nosem, ale teraz chyba jest zadowolony.

Już w drodze powiedział:

- Wspaniale sobie radzisz z tym złamaniem. Nie słyszałem ani słowa skargi.

Zrobiło jej się ciepło na sercu i odparła bezwiednie:

- Wydaje mi się, że to jest coś w rodzaju błogosławieństwa. Wreszcie mam wakacje.

- Tak - przyznał obojętnie. - I zupełnie trzeba było zmienić plany.

- O Boże, przepraszam - szepnęła zawstydzona. - Ja czasem rzeczywiście myślę tylko o sobie. Czy miałeś wiadomości od ojca? Czy straciłeś okazję przejęcia tej lecznicy?

- Jaką okazję? Dobrze, dobrze, nie musisz odpowiadać. Wiem, o czym myślisz. Prawdę powiedziawszy, nie miałem zamiaru przyjąć tej oferty, ale chcę pomóc Janey finansowo. Ona na to zasługuje. Chce, żebyśmy wszedł w spółkę razem z nią i jej chłopakiem, ale to nie wchodzi w grę.

- Dlaczego? - spytała i zobaczyła, że James zaciska usta. - Przepraszam, chyba nie powinnam pytać.

- Dobry Boże! - zawołał. - Czy ty jeszcze nic nie rozumiesz?!

- Nie, nie rozumiem - przyznała, zbита z tropu. - Skąd mam wiedzieć, co się dzieje w twojej głowie?

- Albo skąd ja mam wiedzieć, co się dzieje w twojej! Jak mogę ci powiedzieć to, czego bym chciał, skoro dałaś mi jasno do zrozumienia, że nasza spółka

- jeśli do niej dojdzie - może być układem jedynie koleżeńskim? Pewnie uważasz mnie po prostu za przyjaciela i nic innego do mnie nie czujesz.

Alice siedziała w posepnym milczeniu i szukała słów, by mu odpowiedzieć, gdy nagle usłyszała jego ponury głos:

- Wiem, że to nie ma sensu, więc zapomnij, o czym mówiłem. Nie możemy się spóźnić do pana Parkera.

Następne pół godziny spędziła w stanie lekkiego zamroczenia. Gdy w obozrze słuchała Jamesa wychwalającego zalety nowego specyfiku, przyłapała się na tym, że ma kłopoty z koncentracją. James zaś zakończył uprzejmie:

- A wszystko skończyło się dobrze dlatego, że zastosował się pan do moich wskazówek. Większość farmerów już dawno by się poddała i zwierzę wylądowało w rzeźni.

Farmer aż pokraśniał z zadowolenia.

- No, przecież ja nic nie mam przeciw postępowi - oznajmił. - Ta jałówka jest bardzo cenna i nie chciałem jej stracić. Mam tylko nadzieję, że rachunek nie będzie za wysoki.

- Zapłaci pan niewiele więcej, niżby pan dostał za nią w rzeźni - odparł James z uśmiechem. - Więcej pan na tym zyska niż my.

James udzielił mu jeszcze kilku rad i rozstali się w wielkiej przyjaźni. Gdy wraz z Alice opuszczali zabudowania farmy, James roześmiał się trochę smutno i rzekł:

- Farmerzy traktują te swoje zwierzęta jak inwestycję, a my próbujemy oszczędzić im cierpień i cieszymy się z każdego uratowanego życia.

Alice potaknęła w odpowiedzi i znowu zapanowało milczenie. Nie potrafiła zebrać myśli. Rozpaczliwie pragnęła usłyszeć od Jamesa coś więcej, zdawała sobie jednak sprawę, że to nie miejsce ani czas wyciągać go na zwierzenia. W jej udreńczonym umyśle zaświtał promyk nadziei, nie śmiała się jednak do niego przyznać - z obawy, że nadzieja może okazać się płonna.

- Musimy złożyć jeszcze jedną wizytę - odezwał się nagle. - Sophie ma cię-
żarną kożę i prosiła, żebym ją zbadał. Kazała mi także zaprosić cię na herbatę lub
kawę. - Spojrzał na zegar w samochodzie. - Wpół do czwartej... No to chyba na
herbatę. - Obrzucił ją pytającym wzrokiem. - Zgadzasz się, prawda? Ja umieram
z pragnienia, a herbatka u Sophie bywa znacznie bardziej interesująca niż w
lecznicy.

- Dobrze - odparła z uśmiechem. - Chętnie spotkam się z Sophie. A może
dziś i dzieci będą w domu?

James zrobił zabawny grymas.

- One są bardzo miłe, ale czasami naprawdę wstępuje w nie diabeł. Ale pew-
nie wszystkie są takie same. To bardzo szczęśliwa rodzina. Zazdroszczę im. -
Gdy zjeżdżał z głównej drogi w kierunku domu brata, dorzucił: - A oni nadal są
w sobie zakochani.

- Mówisz, jakbyś był zdziwiony. Nie wierzysz w prawdziwą miłość?

Wzruszył ramionami.

- Kiedyś wierzyłem, ale okazało się, że łatwo się pomylić. Na przykład wy-
dawało mi się, że bardzo kocham moją narzeczoną, ale kiedy się dowiedziałem,
że nie jest mi wierna, natychmiast przestałem ją kochać. Zamiast cierpieć, za-
miast obnosić się ze złamanym sercem, wpadłem w złość, a potem poczułem
ulgę.

Zatrzymał samochód u bramy przed długim podjazdem, lecz zanim wysiadł,
by ją otworzyć, dodał:

- Później zakochałem się tak bardzo, że stało się oczywiste, że tamta miłość
nie była prawdziwa. Ale jeśli i to uczucie skończy się niczym, chyba nie będę da-
lej próbował.

Alice poczuła, że brakuje jej powietrza. Chciała mu zadać bardzo ważne py-
tanie, lecz zabrakło jej także odwagi. Przecież w odpowiedzi może usłyszeć coś,
co zdławi ów nikły płomyk nadziei, tłący się gdzieś w zakamarkach jej umysłu.

Oszołomiona uświadomiła sobie, że James wysiadł, otworzył bramę i właśnie przejechał na drugą stronę. Gdy wrócił do samochodu po zamknięciu bramy, obrzucił ją przeciągłym spojrzeniem i wolno ruszył w kierunku domu brata.

Nie rozumiała, co znaczy to spojrzenie. Czy ostrzega ją, by nie obiecywała sobie zbyt wiele, czy też chciałby, żeby zadała mu więcej pytań? Nagle straciła wszelką nadzieję. Przecież nie ma najmniejszego powodu przypuszczać, że miał na myśli właśnie ją. A skoro tak, to kogo? Przecież nie Becky, więc... No tak, Janey. Zawsze mówił o niej w samych superlatywach, a poza tym mieszkają w jednym domu...

Chwilę później jej podejrzenia potwierdziła Sophie, która, wskazując kocicę spacerującą po podwórzu, rzekła:

- Wczoraj nadziała się na jakiś kolczasty drut i Janey się nią zajęła. - Spojrzała na Jamesa. - Pamiętasz? Kiedy wróciłeś wieczorem, obejrzałeś szew i uznałeś, że to wspaniała robota. Wiesz, ona ciągle mi mówi, że chciałaby przejąć praktykę twojego ojca, ale że to zależy od ciebie. - Popatrzyła na niego pytająco: - James, przyznaj się, jak to jest z wami.

Alice poczuła, że pęka jej serce. Udając obojętność, odeszła na bok, nie na tyle daleko jednak, by nie usłyszała jego śmiechu.

- Moja kochana Sophie, znowu nie trafiłaś! Jestem pewien, że gdyby nas coś łączyło, Janey by ci się zwierzyła. Ona chyba ma jakiegoś chłopaka w Perth, bo on ciągle dzwoni i nie może się doczekać jej powrotu.

- Co? Znowu się pomyliłam? - Sophie smętnie wzruszyła ramionami. - No cóż, wobec tego chodźmy do Gildy. Co do niej, na pewno mam rację. Lada dzień będzie miała małe!

- Z kozami nigdy nie wiadomo! - James śmiał się głośno.

- Kiedyś sam wpadłem we własne sidła. Wezwano mnie na farmę do kozy, która miała właśnie rodzić, a ja ją zbadałem i powiedziałem, że skoro okres ciąży - sto pięćdziesiąt dni - jeszcze nie dobiegł końca, porodu można się spodziewać

za dni trzy lub cztery. Piętnaście minut po moim wyjeździe urodziło się dwoje marylch, a ja czułem się jak idiota.

Doszli na tyły zabudowań gospodarskich i Sophie poprowadziła ich do boksu Gildy.

- Widzicie? Prawda, że ładna? Kiedy wypuszczam ją na spacer, chodzi za mną jak pies. Reaguje także na swoje imię. -Gdy Sophie podeszła do boksu, Gilda stanęła na zadnich nogach i delikatnie położyła głowę na ramieniu swej pani. Ta pogłaskała ją czule i rzekła: - Jest trochę za ciepła. Chyba ma gorączkę.

James wyjął termometr i zmierzył zwierzęciu temperaturę. Gdy okazało się, że gorączka jest dosyć wysoka, postanowił natychmiast dać kozie zastrzyk.

- A jeśli chodzi o ten poród... - Wszedł do boksu i dokładnie zbadał kozę. W końcu potrząsnął głową. - Jestem pewien

- roześmiał się krótko - jeśli w ogóle można czegokolwiek być tu pewnym, że przez tydzień nic się nie będzie działo. Tym razem daję głowę. Ale na wszelki wypadek zaglądam do niej często, bo mogę się mylić.

- Tobie też to radzę - odparła Sophie - bo jeśli się okaże, że to ja mam rację, nie będziesz miał lekko.

Śmiejąc się i żartując, powędrowali w stronę domu. Gdy weszli do kuchni, Alice aż westchnęła z podziwu: na środku stołu stała patera ze wspaniałym ciastem owocowym.

- Może i często się mylę - przyznała Sophie z dumą - ale moje ciasta są zawsze idealne.

- Przepraszam, jeśli cię obraziłem, ale nie bierz sobie tak wszystkiego do serca. Jesteś wspaniałą żoną i matką, i moim zdaniem to jest najważniejsze.

- Dzisiaj się trochę inaczej o tym myśli, ale David i dzieci naprawdę są szczęśliwi, i mnie to bardzo cieszy.

- A ja uważam - wtrąciła Alice - że masz siłę dwóch chłopów, skoro wykonujesz całą tę robotę w domu i na farmie, a przy tym jeszcze zajmujesz się dziećmi. Gdzie teraz są?

- Na wycieczce szkolnej. Wrócą dopiero wieczorem, toteż wykorzystajmy chwilę spokoju.

Zasiedli do podwieczorku. Rozmowa początkowo toczyła się wokół spraw ogólnych, a potem Sophie, wyraziwszy Alice współczucie z powodu ręki, zwróciła się do Jamesa:

- Mówisz, że Janey ma chłopaka, ale jej zdaniem to luźna znajomość. Chciałaby, i tym razem się na pewno nie mylę, żebyś przejął praktykę ojca i ją zatrudnił jako ewentualną współpracowniczkę. Kazała mi nawet wysondować cię na ten temat.

Alice usiłowała powstrzymać bezwiedny okrzyk niechęci, lecz wymowne spojrzenie, jakim James ją obrzucił, uzmysłowiło jej, że zauważył jej reakcję. Zamiast odpowiedzieć bratowej na pytanie, wzruszył ramionami, włożył do ust kawałek ciasta i zawyrokował:

- Pyszne. Wspaniałe. Sophie, jesteś w tym najlepsza.

- Nie wykręcaj kota ogonem - odparła zirytowana - tylko powiedz, co myślisz o jej pomysle.

- To zależy - rzucił lakonicznie i dalej z apetytem jadł ciasto, podczas gdy Sophie patrzyła na niego już z wyraźną złością.

- Z niego naprawdę nie można nic wydusić, prawda? - zwróciła się do Alice.

- Jak ty sobie z nim radzisz?

Świadoma, że spojrzenie Jamesa zwiło na jej ustach, Alice uśmiechnęła się nieco sztucznie:

- On sam sobie ustanawia prawa. Już nie próbuję go zrozumieć.

Dopiero w drodze powrotnej James poruszył ten temat.

- Jeśli umówisz się ze mną któregoś dnia na kolację, wyjaśnię ci, dlaczego jest tak trudno coś ze mnie, jak mówi Sophie, wydusić.

Mimo że serce zabiło jej szybciej, zdobyła się na ironię:

- Już kiedyś umówiliśmy się na taką kolację, ale nie wiem, czy pamiętasz, że nie powiedziałaś wiele. Musieliśmy przerwać w połowie...

- No tak, oczywiście. - Smętnie pokiwał głową, a po namyśle dodał: - Wiesz, poproszę Petera Wooda, weterynarza z Summerhill, o jednodniowe zastępstwo. Lecznicę zostawimy pod opieką Janey i Carol, a sami gdzieś pojedziemy, choćby nad morze. Nikt nas tam nie znajdzie. Miałabyś ochotę na taką przejażdżkę?

Poczuła, jak serce przepęlnia jej radość. Cały dzień z Jamesem... Bez względu na to, czego się dowie, zostaną jej przynajmniej wspomnienia. Zaczęli się zastanawiać, który dzień wybrać, kiedy James nagle postanowił:

- Zostaw to mnie. Sam wszystko załatwię. Powinniśmy jechać jak najszybciej, póki jest piękna pogoda.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy dwa dni później obudziła się, ujrzała za oknem piękny poranek, a świadomość, że spędzi cały dzień z Jamesem, napełniła ją radością. Było jej obojętne, gdzie pojedą; najważniejsze, że będą razem.

Przyjechał po nią tuż po śniadaniu. W sportowym ubraniu wyglądał tak znakomicie, że z wrażenia ugięły się pod nią kolana. Choć sama nadal miała kłopoty z ubieraniem się z powodu gipsu, starannie obmyśliła strój. Miała na sobie beżowe spodnie, kremową, jedwabną bluzkę i szeroki, skórzany pas podkreślający talię. Aksamitna kokarda we włosach ujmowała jej lat.

James nie skomentował jej wyglądu, lecz w jego oczach wyraźnie dojrzała aprobatę. Kiedy już usiadła obok niego w samochodzie i westchnęła z zadowoleniem, spojrzał na nią zaniepokojony.

- Dlaczego wzdychasz? - spytał. - Nie chcesz jechać? Roześmiała się wesoło.

- Jesteś jak Sophie! - zawołała. - Ciągle coś źle rozumiesz. To było westchnienie ulgi, że wszystkie kłopoty zostawiam za sobą. A ty nie masz takiego wrażenia?

- Tak - odparł. - Cieszę się z tej wycieczki, ale trochę się boję.

Zawiesił głos, jakby oczekiwał, że poprosi go o wyjaśnienie, ona tymczasem poczuła nagły chłód. Czy James boi się przyznać, że postanowił wyjechać do Australii?

- Ja też trochę się boję - wyznała w końcu - więc może od razu powiedzmy sobie to, co mamy do powiedzenia, a potem cieszymy się dniem.

Odczuła zawód, gdy potrząsnął głową.

- Nie teraz i nie tutaj. Czy zgadzasz się, żeby pojechać nad morze? Jest na tyle ciepło, że można posiedzieć na plaży. Sophie przygotowała mi kosz z prowiantem, a ja dołożyłem do niego butelkę wina. Oczywiście australijskiego.

- Wspaniale, jedźmy nad morze - zgodziła się, ponownie czując niepokój na wzmiankę o Australii.

Po krótkich poszukiwaniach znaleźli spokojną zatoczkę otoczoną skalami. Postawiwszy kosz na piasku, James oznajmił:

- Ani żywego ducha. Idealnie.

Alice usiadła na kocu, który rozłożył, i wciągnęła w płuca morskie powietrze. Właśnie zaczynał się odpływ i woda stopniowo odsłaniała niebiesko-zielone skałki, które połyskiwały w słońcu. Nad nimi fruwały rozkrzyczane mewy. Alice odniosła nagle wrażenie, że ta scena pozostanie w jej pamięci do końca życia: za chwilę jej los się rozstrzygnie.

- Chyba już możemy zjeść lunch? - usłyszała pytanie Jamesa. - Zobaczmy, co Sophie nam zapakowała.

Wyjął dwa małe termosy wypełnione wspaniałą zupą koperkową, a potem pasztet domowej roboty i salami ze świeżym chlebem. Daniem głównym były panierowane udka kurczaka oraz sałata. Na deser Sophie przygotowała mus czekoladowy. Oboje jedli z apetytem, zachwyceni widokiem estetycznie zapakowanych potraw i szumiącego w pobliżu morza.

W końcu Alice położyła się na kocu i ze śmiechem potrząsnęła głową, kiedy James zaproponował jej następną porcję musu.

- Jeśli jeszcze coś zjem, natychmiast zasnę - zagroziła.

- Proszę, nie! - zawołał, udając przestrah. - Musimy przecież porozmawiać. Muszę ci coś wyjaśnić, ale najpierw chcę, żebyś odpowiedziała na bardzo ważne pytanie. - Widząc, że drgnęła i odwróciła głowę, dodał poważnie: - Proszę, powiedz prawdę. - Znowu urwał, jakby szukał odpowiednich słów. - Alice - podjął w końcu - powiedz mi, co byś czuła, gdybym wyjechał do Australii przejąć prak-

tykę ojca? Czy byłoby ci po prostu smutno, ale szybko byś mnie zapomniała, gdyby znalazł się ktoś inny na moje miejsce?

Zdumiona, zwróciła ku niemu twarz. Stawia ją w trudnej sytuacji. Czy może powiedzieć mu prawdę, nie wyznając mu jednocześnie miłości?

- Co mam ci odpowiedzieć? - spytała w końcu. - To bardzo trudne.

- Nie dręcz mnie, proszę. Muszę wiedzieć. Położył jej ręce na ramionach i spojrzał w oczy.

- Jeśli wyjedziesz, złamiesz mi serce.

- Alice, naprawdę?!

Wstał i pociągnął ją za rękę. Chwilę później tulił ją w ramionach i obsypywał pocałunkami. Czowała, jak szybko bije jego serce. A potem odnalazł jej usta i pocałował ją tak gorąco, że czuła się bliska omdlenia. W końcu odsunął się nieco i spojrzał jej w oczy. Jego głos drżał z emocji, gdy się odezwał:

- Trudno mi w to uwierzyć. Alice, moja droga Alice, naprawdę mnie kochasz? I to tak, jak ja ciebie?

Uśmiechnęła się złośliwie.

- A skąd mam wiedzieć, jak bardzo mnie kochasz? Przez ciebie złamałam wszelkie zasady i pierwsza ci to powiedziałam.

- Jakie zasady? Moja kochana, przecież w miłości nie ma żadnych zasad. Alice, kocham cię, uwielbiam i zrobię wszystko, żebyś była tak szczęśliwa jak ja.

Ponownie przytulił ją do siebie i przez kilka minut trwali w uścisku, aż w końcu Alice opuściła głowę i oparła ją na jego piersi. Wtedy delikatnie pociągnął ją na koc. Kiedy spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich nieme pytanie.

- Teraz? - szepnął, a gdy milczała, wahając się, dodał domyślnie: - Woląabyś poczekać?

Skinęła głową i pogłaskała go po policzku.

- Masz coś przeciwko temu?

- I tak, i nie. - Patrzył na nią ciepło. - Ale jeśli tak chcesz, to zgoda, mimo że trudno mi będzie wytrzymać. - Roześmiał się cicho. - Jak długo?

Kiedy milczała, powiedział:

- Dobrze, sam odpowiem na to pytanie. - Jego palce błądziły po jej szyi, kiedy usłyszała: - Alice, zostaniesz moją żoną?

Dopiero kiedy dotarły do niej te słowa, uświadomiła sobie, jak bardzo się bała tego, że James nie myśli o małżeństwie. W jej oczach musiała odmalować się ulga, bo spytał:

- Przecież wiesz, że zależy mi na ślubie?

- Po twoich doświadczeniach... - odparła nieco niepewnie.

- A, o to ci chodzi! - Wstał i pociągnął ją za rękę. - Rzeczywiście przez jakiś czas myślałem, że nie uwierzę już żadnej kobiecie, ale wtedy byłem przekonany, że jestem winny tamtego wypadku. A w tobie zakochałem się tak szybko, że musiałem z sobą walczyć. Ty przez tę swoją ambicję sprawiałaś takie wrażenie, jakby interesowała cię tylko praktyka, i jakbyś mnie uważała za taką zapchajdziurę na pół roku. Przyznaj, że nie zdradzałaś się ze swoimi uczuciami.

- To prawda. Bałam się, że interesuje cię moja lecznica. - Uśmiechnęła się. - Ale kiedy później zdałam sobie sprawę, że się w tobie zakochałam, przyjechała Janey i znowu się bałam tym razem tego, że wyjedziesz.

- Dużo nad tym myślałem i wydawało mi się, że nigdy mnie nie zechcesz. Ale teraz jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem! Zostaję w rodzinnym kraju, znalazłem żonę... - Głos mu się załamał i ukrył twarz w jej włosach. Nagle uderzyła go jakaś myśl, bo odsunął się i rzekł: - Ależ ze mnie egoista!

A może chciałabyś pojechać ze mną do Australii i przejąć praktykę ojca?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Chciałabym kiedyś tam pojechać, ale... - Po chwili namysłu dodała pośpiesznie: - Ależ tak, oczywiście. Jeśli ty chcesz jechać, to ja...

- Alice, moja droga... - Objął ją i cicho się zaśmiał. - Czy ty nie przesadzasz? Czy uważasz, że marzę o takiej posłusznej żonie?

- Chciałabym po prostu, żebyś wiedział, że z tobą będę szczęśliwa wszędzie. Posłuszna żona? - Roześmiała się cicho i powiodła palcem po jego policzku. - Nie. My będziemy partnerami, na dobre i na złe.

Objął ją mocno, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję, czując, że kocha go ponad życie. Była szczęśliwa, że wszystkie nieporozumienia zostały wreszcie wyjaśnione. Ten człowiek - ten wspaniały mężczyzna - który pojawił się w jej życiu początkowo na krótki czas, zmienił zdanie i pozostanie z nią na zawsze.

RS